№ 49. Warszawa, dnia 3 Grudnia (21 Listopada) 1881 r. Rok I

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie**: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres Redakcyi i Administracyi**
**Włodzimierska Nr. 2.**

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.



## Na rok 1882.

Zapowiadając w roku przeszłym pismo nasze, określiliśmy tylko w ogólnych rysach jego kierunek, a czynom, na które ono jeszcze wtedy powołać się nie mogło, pozostawiliśmy udowodnienie wartości naszych zasad i usiłowań. Dziś, gdy **Prawda** zamyka pierwszy rok swego istnienia, mamy prawo w jej treści uznać dla siebie potwierdzone przez licznych abonentów świadectwo, że ona na zajętem stanowisku pracowała lub walczyła uczciwie i pożytecznie. Wszystkie niemal promienie postępowej i niepodległej myśli polskiej zbiegły się w naszem ognisku i wytworzyły światełko, które, jak mniemamy, rozjaśniło czytelnikom niejedną ciemną stronę życia lub wiedzy. Podstawę do tego mniemania znajdujemy w niezwykłem i ciągłem rozszerzaniu się koła prenumeratorów, które dziś już obrębem swoim dorównywa najpoczytniejszym tygodnikom. To powodzenie **Prawdy** było tak dalece dla nas samych niespodziewanem, że w pierwszym jej kwartale musieliśmy numery trzykrotnie przedrukowywać i trzykrotnie się wyczerpały. Nie chełpimy się tym dowodem uznania jako szczęśliwą operacyą wydawniczą, gdyż niema organu, któryby mniej od nas dążył do celów spekulacyjnych — ale jako spełnieniem się naszej nadziei, że **Prawda** była potrzebną w dziennikarstwie polskiem i że tej potrzebie, przynajmniej częściowo, uczyniła zadość. Może ona zaś z tem większą otuchą rozpocząć drugą dobę swego rozwoju, że zdobytą ufność w społeczeństwie zawdzięcza jedynie sobie. Bez reklamy, bez poparcia w prasie, szczodrej do najpohopniejszych pochwał w gronie swego bractwa, owszem, śród częstych objawów nieprzyjaźni, pismo nasze utorowało sobie drogę wyłącznie własną pracą i wiernością tym godłom, które są i będą jego stałem znamieniem. Ponieważ przedsięwzięcie nasze nie było balonem próbnym, wyczuwaniem prądów, na których można stawiać spekulacyjne młyny, lecz wypłynęło z głębokich i dojrzałych przekonań, pójdzie ono dalej w tymże samym kierunku. *Nieustanny rozwój narodowy, zgodny z ogólnym rytmem cywilizacyi, podnoszenie tych żywiołów społeczeństwa, które stanowią jego rdzeń najzdrowszy i najoświeceńszy, zupełna niepodległość badań naukowych, i — że tak powiemy — samorząd umysłowy* — oto są główne podwaliny, na których **Prawda** zawsze opierać się będzie. Z natury swojej musi ona często ścierać się z klerykalizmem, nietolerancyą, poddańczością umysłową, kłamstwem, podwójną buchalteryą przekonań; w walce tej wszakże usiłujemy zawsze odcinać rzeczy od osób i utrzymywać ją w granicach sporów przedmiotowych. Nie pragniemy bowiem ani sił własnych targać, ani uwagi czytelników marnować na osobiste pojedynki i drobiazgowe kłótnie, które, jeśli nawet nie są igrzyskiem gorszącem, to zawsze prawie bywają bezużytecznem.

Szczegółowy roczny spis artykułów w **Prawdzie** pomieszczonych, przekona czytelników widomie, że ona nie pominęła ani jednego ważniejszego objawu w życiu naszem i ogólno ludzkiem. Materyalne powodzenie pisma daje nam możność zyskiwania dlań sił cennych i prac wartościowych, oraz pomnażania już dziś obszernego zastępu współpracowników każdą nową zdolnością pokrewnego rodzaju.

Dotychczas w **Prawdzie** udział przyjęli: A. Abakanowicz, J. Baudouin de Courtenay, A. Bem, F. Bogacki, A. Dygasiński, K. Dunin, W. Gosiewski, H. Goldberg, T. T. Jeż, J. Karłowicz, J. Kotarbiński, W. Marrene, B. Prus, Sewer, W. Smoleński, J. Szyff, S. Wiśniowski. W. Zagórski, Prawdzic, Liber i inni.

---

W pierwszym kwartale roku przyszłego kończymy drugi tom bezpłatnego dodatku: *Główne prądy literatury europejskiej XIX wieku* J. Brandesa i rozpoczniemy druk innych części. W książce tej zyskają czytelnicy jedno z najznakomitszych dzieł najnowszego piśmiennictwa Europy.

---

Dla wczesnego oznaczenia wysokości nakładu **Prawdy** i uniknięcia niemożności dostarczenia abonentom spóźniającym się numerów wyczerpanych, prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty według warunków w nagłówku oznaczonych.

**Redakcya.**

---

## REFORMA ZARZĄDÓW MIEJSCOWYCH.

*Praw. Wiestnik* poznajomił nas ogólnikowo z zadaniem komisyi pod przewodnictwem radcy tajnego Kochanowa, mającej wypracować inne formy dla zarządu w guberniach i powiatach. Nad zadaniem tem myślało osobne ciało przy ministeryum spraw zewnętrznych w ciągu lat 22. Widocznie wszakże działalność jego nie przyniosła pożądanych owoców, skoro musi ono dziś przekazać swą rolę innemu. Oprócz wskazówek, które potok życia na wierzch wyrzuca, nowoustanowiona komisya użytkować będzie z materyałów, zebranych przez komitety gubernialne do spraw włościańskich (1880) i ziemstwa oraz przez rewizye senatorskie, które, jak wiadomo, odkryły wiele nadużyć i stosunków, wymagających szybkiej naprawy.

Ma ona określić — „jakim być winien ustrój zarządu miejscowego, przeniknionego we wszystkich swych częściach jednością siły kierowniczej, przy możliwem zmniejszeniu liczby oddzielnych istytucyj, wzmocnieniu władz miejscowych i uszczupleniu krępujących formalności.“ Ażeby zaś na drogę do tego celu światło padało nietylko od strony urzędniczej, dozwolono prezydującemu w komisyi wzywać do uczestniczenia w jej obradach „rzeczoznawców i wogóle wszystkie osoby, których udział w rozważaniu i rozstrzyganiu kwestyi okaże się pożytecznym.“

W jakim duchu zarząd gubernialny i powiatowy będzie zmienionym? na to pytanie nie możemy dziś dać odpowiedzi. Spodziewać się tylko należy, że badania delegowanych senatorów oraz widoczne ułomności w machinie administracyjnej pobudzą do usunięcia lub przerobienia wielu jej kółek. Dwie potrzeby w tej dziedzinie odzywają się najsilniej: naprzód konieczność uproszczenia splątanej formalistyki a powtóre wzmocnienia władz miejscowych prawami samorządu. Na pierwszą z tych potrzeb prasa rosyjska rzuciła już tyle światła, a raczej cienia, że komisya administracyjna widzi jasno, na co uwagę zwrócić powinna. Ginące w nieskończonych zakrętach papierowe drogi starej biurokracyi tamują naturalny bieg życia państwowego i opóźniają jego rozwój co najmniej o połowę czasu. Każde przedsięwzięcie sunie się powoli, spętane formalnościami bez końca i nieraz upada w ich plątaninie. Naturalnie wyprostować i skrócić tę drogę można tylko przez wzmocnienie ośrodków systematu administracyjnego, które dziś nie posiadają dostatecznej samodzielności i zależne w najmniejszym ruchu od organu głównego nie mogą działać szybko i użytecznie. Przyznał to nawet sam p. Katków, jak wiadomo, niezbyt skory w udzielaniu społeczeństwu przywilejów.

Na wielkim obszarze środkowej i wschodniej Europy, skutkiem wstrząśnień społecznych, odbywa się przyspieszona praca rządów nad wytrąceniem broni z rąk żywiołów rewolucyjnych i ogarnięciem pod swą opiekę interesów ludu. Pierwszy przykład tej polityki dał książę Bismark, jej tętna czujemy również w obecnych reformach Rosyi. Zniżenie opłat wykupnych, obdarowanie ziemią czynszowników i ludzi wolnych w t. z. Kraju Zachodnim, usunięcie żydów z karczmy i oddanie jej gromadom, zaopiekowanie się wędrówką włościan — wszystko to jest znamieniem usiłowania, wyrywającego grunt propagandzie socyalistycznej. Zamierzona reforma administracyjna, skierowana w znacznej części do regulacyi stosunków włościańskich, jest również, przynajmniej częściowem odbiciem tejże samej myśli.

## STRACONY NAKŁAD.

Z zestawienia cyfr ostatniego czterolecia uniwersytetu warszawskiego wypadają dwa nader pouczające wnioski, które zasługują na osobną uwagę.

Przedewszystkiem okazuje się, że liczba studentów znacznie wzrasta. W r. 1878/9 było ich tylko 525, w obecnym 1,008, a zatem przeszło dwakroć więcej. Przyrost ten objawił się na trzech wydziałach. Fakultet fizyko-matematyczny, w porównaniu z liczbą przed czterema laty, zyskał 100 słuchaczów, prawny — 136, lekarski zaś aż 251. Nie uległ postępowi tylko filologiczny, który z 45 studentów spadł na 41. Zarówno ten spadek, jak i ogólna liczba słuchaczów tego wydziału są objawem nader charakterystycznym. Więc setki gimnazyów, progimnazyów i szkół prywatnych z programem klasycznym, który usilniej szczepi w umysły młodzieży języki starożytne niż w Atenach i Rzymie, dostarczają uniwersytetowi 41 studentów, a krajowi 4, wyraźnie *czterech* filologów rocznie, kończących ten wydział? A gdzież się podziewa olbrzymia reszta łacińskich i greckich koniugacyj, deklinacyj, reguł, wyjątków, ekstemporalij i tym podobnych gwoździ, wbijanych w młode głowy, a niezużytkowanych po opuszczeniu ławki szkolnej? Gdzie się podziewa ten wielki nakład trudów nauczycielskich i uczniowskich, który corocznie wydaje edukacya klasyczna? Wierzymy, że nie każdy człowiek idzie tą drogą, na którą go w dzieciństwie wprowadzono; ale czyż podobna, ażeby ta wielka różnica między przymusowym kierunkiem gimnazyum a dowolnym uniwersytetu była jedynie skutkiem naturalnej zmiany w usposobieniach młodzieży? 14 filologów na pierwszym kursie wydziału filologicznego wtedy, gdy wychowanie średnie przygotowuje ich tysiące — czy to nie rozcina kwestyi programu i czy nie usuwa potrzeby marnowania słów na bezużyteczne spory? Po co inne dowody — dość zastanowić się nad tą jedną cyfrą, nad tym maluchnym procentem od wielkiego kapitału edukacyi klasycznej. Cokolwiek byśmy powiedzieli, młodzież sama, nie zastanawiając się nad żadnemi zasadami, protestuje późniejszym wyborem studyów przeciwko ich skierowaniu poprzedniemu. 14 amatorów filologii rocznie — trudno uwierzyć! Bo przecież w tej liczbie mieszczą się nietylko klasycy, ale także historycy i sławiści. Zaiste systemat klasyczny marne wydaje owoce i nie wart tak zawziętej i wysilonej uprawy.

Nic to nie znaczy, że na wybór zawodu naukowego wpływają względy poboczne, praktyczne. Istnieją one zawsze i wszędzie, wymagania ich są niepokonane i żadną kulturą sztuczną przemódz się nie dadzą, a wychowanie raczej je uwzględniać, niż pogardzać nimi winno. Jeżeli karyera lekarska jest zyskowniejszą niż nauczycielska, to znaczy, że kraj w danej chwili i w danych warunkach więcej potrzebuje lekarzów, niż nauczycieli. Jeżeli zaś zechcemy zmienić ten stosunek, to nie przekształciwszy go wcale, zepsujemy tylko umysły, które pogwałcić usiłujemy. Przez usunięcie z gimnazyów nauk przyrodniczych a wprowadzenie gramatyk starożytnych, nie zmniejszymy liczby lekarzów, tylko wychowamy gorszych.

Do wniosków tych dochodzimy na podstawie cyfr jednego uniwersytetu warsza-

---

# Pieśń tryumfującej miłości

(MDXLII)

przez

**I. Turgeniewa.**

(Dalszy ciąg.)

Walerya nie prędko zasnęła; krew jej burzyła się głucho i zwolna, a w głowie zlekka szumiało... od tego wina dziwnego, jak sądziła, a także być może od opowiadań Mucyusza, od jego gry skrzypcowej.... Nad rankiem wreszcie usnęła i przyśnił jej się obraz niezwykły.

Przywidziało się jej, że wchodzi do obszernej komnaty o niskiem sklepieniu... Podobnej w życiu swem nie widziała. Wszystkie ściany wyłożone były drobnemi, błękitnemi muszlami i trawą złocistą; cienkie kolumny, rzeźbione, z alabastru podpierały sklepienie marmurowe, które podobnie, jak one, wydawały się napół przezroczystemi... Światło blado-różowe przeciskało się zewsząd, opromieniając wszystkie przedmioty tajemniczo i jednostajnie; poduszki parciane leżały na wązkiej sofce w samym środku gładkiej, jak zwierciadło, posadzki. W rogach ledwie spostrzedz można było dymiące się kadzielnice, wysokie, przedstawiające zwierzęta bajeczne; okien nie było nigdzie; drzwi, pokryte kotarą aksamitną, milczące się rysowały w ustępie ściany. Nagle kotara ta pocichutku się prześlizguje, usuwa... i wchodzi Mucyusz. Kłania się, rozwiera ramiona, śmieje się... Giętkie jego ręce obejmują kibić Waleryi; spieczone jego wargi poparzyły ją całą. Walerya pada w znak na poduszki...

. . . . . . . . . . . . . . .

Jęcząc z przestrachu, po długich wysiłkach, zbudziła się. Nie pojmując jeszcze, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje, unosi się na swem łóżku i rozgląda... Dreszcz przebiega po całem jej ciele... Fabiusz leży przy jej boku. Spi, ale twarz jego, przy świetle księżyca okrągłego i jasnego, który zaglądał do okien, blada była jak u trupa... bledsza nawet. Walerya zbudziła męża, który, spojrzawszy na nią zaledwie, zawołał:

— Co tobie?

— Miałam... miałam sen straszny, wyszeptała, trzęsąc się jeszcze...

— Ale w tej chwili, od strony pawilonu, doleciały silne dźwięki — i oboje, Fabiusz i Walerya, poznali melodyę, którą zagrał im Mucyusz, nazywając ją pieśnią zaspokojonej, tryumfującej miłości. Fabiusz ze zdziwieniem popatrzył na Waleryę, która zakryła oczy i odwróciła się. Oboje, stłumiwszy oddech, wysłuchali pieśni do końca. Gdy zamarł dźwięk ostatni, księżyc zaszedł za obłoki, w komnacie nagle się ściemniło... Małżonkowie opuścili głowy na poduszki, nie wyrzekłszy do siebie słowa — i żadne z nich nie zauważyło, kiedy zasnęli.

Nazajutrz Mucyusz przyszedł na śniadanie; zdawał się zadowolonym — i wesoło powitał Waleryę. Odpowiedziała mu zmięszana — spojrzała na niego przelotnie — i strasznie jakoś na nią podziałała ta twarz wesoła, zadowolona, te oczy przenikliwe i ciekawe. Mucyusz znowu podjął opowiadanie... ale Fabiusz przerwał mu przy pierwszem jego słowie.

— Widocznie nie mogłeś zasnąć na nowem mieszkaniu? Słyszeliśmy, żona i ja, jakieś odegrał pieśń wczorajszą.

— Tak? Słyszeliście? — zapytał Mucyusz.— Grałem ją, rzeczywiście, ale spałem przedtem i nawet dziwny miałem sen.

wskiego; gdyby je zestawić z innych, wszędzie otrzymalibyśmy wynik pokrewny. A jak poważnie przedstawiłby się on w statystyce całego państwa! Jak olbrzymią ponosi ono corocznie stratę w zmarnowanych środkach swej edukacyi klasycznej. Filologia wszędzie hodowana i nigdzie filologii nie ma. Bo nie słyszymy nawet o słynnych badaczach starożytności, o żadnych Stalbaumach, Mullachach, Curtiusach. Niemcy przynajmniej odnoszą tę korzyść, chociaż tak daleko w zasadzie wychowania nie posunęli swego klasycyzmu i zrównoważyli go innymi pierwiastkami. Gdzie kupony od greko-rzymskich akcyj u nas i w Cesarstwie?

*Nauczyciel.*

## BAŃKI MYDLANE.

*Kraków 28 listopada.*

Dwa orzechy. — Przygotowania do nowego pisma. — Czy w Krakowie możliwy jest długotrwały *dzień*. — Zabawny konkurs. — Kto spełni jego warunki. — Udział ludu w wyprawie wiedeńskiej. — Rada wycofania niedorzecznego pomysłu. — Dwa cacka z dziurką.

Prawdziwy, rzetelny i ukształcony krakowianin, nienależący do stronictwa stańczyków, gryzie codziennie dwa orzechy: przyprowadza do równowagi Europę albo zakłada nowy dziennik. Po narodzeniu się *Gazety Krakowskiej*, która miała wywrócić *Czas* a sama się zatacza, sądziliśmy, że przynajmniej myśl o nowym piśmie nie będzie Krakowowi snu przerywała. Gdzie tam! Znowu ktoś w „umiarkowano-liberalnem“ gnieździe zniósł jajko, z którego ma się wykluć *Dzień*. Przedsiewzięto już nawet wszelkie środki dla spełnienia tego zamiaru. Już i feljeton ma objąć „znakomity poeta,“ już i do korespondencyj zamówieni „utalentowani literaci,“ już nawet z za obłoku wynurzyć się ma jako redaktor *on*, Jowisz polityczny, który zna się osobiście z hr. Andrassym, a którego przed kilku laty na tenże sam użytek sprowadzono — niestety bez powodzenia — do Krakowa. Przed kilku laty rozpiął nad tem miastem szerokie swe skrzydła dziennik *Ojczyzna*, z żółtym podgardlem i czarnemi na wierzchu pręgami. Był to istotny orzeł austryacki, który jedną głowę zwracał ku c. k. prokuratoryi a drugą ku Wawelowi. Ciężkim lotem unosił się on przez czas jakiś nad błoniami Galicyi, aż wreszcie zwinął skrzydła i skonał z głodu. Boimy się bardzo, czy nowy ptak dziennikarski nie powstanie z tego samego rodu, zwłaszcza, że okrywały go te same „pióra,“ które utkną w *Dniu*. Bodajbym był fałszywym prorokiem. Kto wie, może jeszcze skała krakowska pokryje się kiedyś zielenią gron winnych, może śród „podwawelskiego narodu“ powstanie mąż, który będzie miał odwagę powiedzieć Kołu polskiemu w Wiedniu, że niech lepiej jego członkowie grają pod kopcem Kościuszki w palanta, niż mają głosować za przeciwną ich przekonaniom ustawą wojskową, ażeby tylko „nie robić rządowi trudności.“ Może — powiadam — wszystko to się stanie, tymczasem nie widzę w Krakowie nawet zalążku opozycyi, któraby się ze stańczykami a cóż dopiero z austryakami mierzyć mogła. I świeże zatem poruszenie dziennikarskie nie wróży nic dobrego lub nic trwałego. Zapewnie życie tu nudne, nabożeństwa się sprzykrzyły, ojcowie jezuici już obmierzli, hrabiowie zbyt nami poniewierają, należałoby więc poruszać się, odetchnąć, ale ile piersi znajdzie się do tak silnego oddechu, ażeby zagrały chórem odrodzenia?

Bańki mydlane!

Uczuwamy czasem porywy demokratyczne i wtedy wyrywamy się jak Filipowie z Konopi. Udało się to Krakowowi obecnie dzięki (jak zwykle) p. St. Koźmianowi i ks. Zuzannie Czartoryskiej, którzy dla uczczenia 200-letniej rocznicy odsieczy Wiednia wyznaczyli konkurs z 500 złr. nagrody za najlepszy dramat.... *ludowy* z czasów Jana Sobieskiego. Radbym bardzo usłyszeć, co sz. ofiarodawcy dowiedzieli się o ludzie naszym z XVII wieku, że osobnym konkursem każą z jego życia czerpać tematy do dramatów. Ponieważ w składzie komitetu nie spotykam p. J. Szujskiego, przypuszczam więc, że jako historyk i dramaturg ubiegać się będzie o nagrodę. On jeden podołałby najlepiej temu zadaniu, ale on nawet podołać mu nie może. Bo jak tu wskrzeszać postacie, które nie żyły a przynajmniej żyć im nie pozwolono? Lud za Jana Sobieskiego — czy wyobrażasz sobie czytelniku coś pod tem mianem? Chyba step głuchy, na którym rasowa stadnina swobodnie się pasła. „Bo niedość — powiada prawie współczesny pisarz — że (okrutny pan) wszystko tak w domu mieszczankowi i chłopkowi ubogiemu wybierze, że i skobla nie zostawi, ale się jeszcze nad nędznym człowiekiem pastwi, w kurek mu od ruszuicy palce wkręcając, bosemi nogami na węglach sadząjąc, witkami głowę tak zakręcając, że aż oczy na wierzch wyłażą, czego nad ubogimi ludźmi ani Turczyn, ani Tatarzyn, gdy w ziemię wpadnie, nie czyni.“ Tak zwykle bywało w XVII w. Czy z takich wspomnień ma być usnuty dramat na pamiątkę odsieczy Wiednia? Dajmy pokój tym grobom, tem bardziej, że wyprawa Sobieskiego, jak wszystkie w owej epoce, było przedsiewzięciem czysto szlacheckiem, w którem lud nie przyjmował żadnego udziału i o którem nawet nie wiedział. Tak, może nie wiedział. Przy ówczesnym rozdziale warstw społecznych, przy zupełnem oderwaniu chłopów od życia politycznego bardzo łatwo mogła do nich nie przeniknąć wieść o wyruszeniu szlachty, aż po dokonanem zwycięztwie. Także fałszywym i śmiesznym byłby dramat, któryby tę wyprawę odbijał w stosunkach ludowych. Do 1 września 1882 roku jeszcze daleko, cofnijcie więc państwo swój konkurs lub zmieńcie jego warunki, bo wam żaden sumienny pisarz nie nadeśle utworu, lub wy prawdziwego nie przyjmiecie. Takiego zadania ani *Czartowską Ławą*, ani *Nocą Świętojańską* rozwiązać niepodobna.

Bańki mydlane!

Zanim lud doczeka się apoteozy w dramacie z czasów Jana Sobieskiego, przybyło Galicyi dwu dygnitarzy. Kraków dostał jedno cacko z dziurką, a Lwów drugie: hr. Ludwik Wodzicki i zasłużony Małecki po-

---

Walerya zachmurzyła się.

— Jaki sen? — zagadnął Fabiusz.

— Śniło mi się, — odparł Mucyusz, nie spuszczając oczu z Waleryi, — jakobym wstąpił do komnaty obszernej, sklepionej, w stylu wschodnim; kolumny rzeźbione podpierały sklepienie, ściany pokrywały muszle, i jakkolwiek nie było ani okien, ani świec, komnatę napełniał blask różowy, jak gdyby cała zbudowana była z kamienia przezroczystego. W rogach dymiły się kadzielnice chińskie, na podłodze leżały poduszki parciane wzdłuż wązkiej kanapy. Wszedłem przez drzwi, pokryte kotarą, a z drugich, wprost przeciwległych, wystąpiła kobieta, którą niegdyś kochałem. I tak mi się wydała piękną, że rozgorzałem cały dawną miłością...

Mucyusz zamilkł znacząco. Walerya siedziała nieruchoma i tylko zwolna bladła... a oddech jej stawał się coraz głębszym.

— Wówczas — ciągnął dalej Mucyusz — przebudziłem się i zagrałem tę pieśń.

— Ale kto była ta kobieta? — przemówił Fabiusz.

— Kto? Żona pewnego indyanina. Spotkałem ją w Delhi... Obecnie już nie żyje. Umarła.

— A mąż? — spytał Fabiusz, nie zdając sobie nawet sprawy, dlaczego zadał to pytanie.

— Mąż zmarł także, jak powiadają. Oboje ich wkrótce straciłem z oczu.

— Dziwne! — zauważył Fabiusz. — Żona moja także miała tej nocy niezwykły sen — Mucyusz przenikliwie spojrzał na Waleryę, — którego mi nie opowiedziała, dodał Fabiusz.

Ale wtem Walerya podniosła się, wyszła z pokoju. Bezwłocznie po śniadaniu Mucyusz także się oddalił, oświadczywszy, że musi się udać za interesami do Ferarry i że nie powróci — przed wieczorem.

Na kilka tygodni przed powrotem Mucyusza, Fabiusz rozpoczął portret swej żony, przedstawiwszy ją jako św. Cecylię. W sztuce swojej znaczne uczynił postępy. Znakomity Luigi, uczeń Leonarda da Vinci, przyjeżdżał do niego do Ferarry i pomagając radą, udzielał mu nauk wielkiego swego mistrza. Portret był prawie gotowy; wypadało tylko wykończyć twarz kilkoma pociągnięciami, i Fabiusz mógłby się słusznie pysznić swojem dziełem. Wyprawiwszy Mucyusza do Ferarry, udał się do swej pracowni, gdzie zwykle oczekiwała go Walerya, lecz nie zastał jej tam; krzyknął na nią, lecz nie odpowiedziała. Fabiusza opanował niepokój tajemny; zaczął poszukiwać. W domu jej nie było; Fabiusz pobiegł do ogrodu i tam, w jednej z odleglejszych ulic, ujrzał Waleryę. Z opuszczoną na pierś głową, z rękami skrzyżowanemi na kolanach, siedziała na ławce, a po za nią, wyłaniając się z ciemnej zieleni cyprysów, satyr marmurowy z twarzą, zeszpeconą uśmiechem złośliwym, przykładał do fujarki ostre swoje wargi. Walerye widocznie ucieszyło przybycie męża; na jego pytania trwożliwe odrzekła, że ją cokolwiek boli głowa, lecz że to nic nie znaczy, i że gotowa udać się do pracowni. Fabiusz zaprowadził ją tam, usadowił i ujął za pędzel, ale ku wielkiemu swemu żalowi, w żaden sposób nie mógł tak zakończyć twarzy, jak by tego pragnął. Nie dla tego, że była cokolwiek blada i wydawała się zmęczoną... nie; ale tego czystego, świętego wyrazu, który mu się w niej tak podobał i który mu nasunął myśl -ομπο rzenia Waleryi w postaci św. Cecylii—dziś nie znajdywał. To też rzucił wreszcie pędzel, oświadczywszy żonie, że nie jest dziś w usposobieniu i że nie zaszkodziłoby jej położyć się, ponieważ nie zupełnie wydaje się zdrową. Odwrócił stalugi ku ścianie. Walerya zgodziła się z nim, że powinnaby odpocząć, i powtórzywszy swą

wołani zostali do Izby Panów. Jak to nas cieszy, jak to nas cieszy! Gdybyśmy milion żyjących chłopów, którym taką grzeczność okazaliśmy w epoce odsieczy Wiednia, wydarli ze szponów lichwy, nie przejęłaby nas taka radość. Dwu parów na raz, ha, ha, ha!

Jakże piękne bańki mydlane.

*P.*

---

## Z NIEMIEC.

Zamęt polityczny. — Wystąpienie Richtera w sejmie.— Strach śród pretoryanów. — Jubileusz Virchowa. — Fundacya dla „nauki o człowieku." — *Testament niemca* jako objaw przesiąkania nowych prądów w stare warstwy. — Praca Gätschenbergera jako zwierciadło historyczne czasów obecnych. — Fryderyk II i Bismark. — Nowa filozofia historyi na ramionach Schopenhauera i Darwina. — Artykuł Vogta po hebrajsku we Lwowie.

Trudno odgadnąć, jak brzmieć będzie przyszła *Geneza* Niemiec. Dziś bowiem to tylko pewna, że Bismark stworzył chaos— a kto go uporządkuje? Kto wyprowadzi państwo z tych krzyżujących się w różne strony manowców, na które dzięki kamiennemu uporowi swego przewodnika wpadło? Naród przez wybory oświadczył się przeciwko całemu spichrzowi ekonomicznych projektów kanclerza i przedstawił Izbę, w której żadne stronnictwo i żadne możliwe ich połączenia nie dają rządowi większości; walka religijna niezałatwiona, socyaliści pomimo praw wyjątkowych pomnożyli się w kraju i parlamencie; izby handlowe złożyły najsmutniejsze sprawozdania o skutku nowych ceł, przytem cesarz chory a następca tronu niezadowolony — oto mętny obraz dzisiejszego położenia Niemiec. Jak daleko rząd nadwyrężył sobie kredyt moralny i nie budzi męstwa nawet w swej nieustraszonej gwardyi pod dowództwem p. v. Minnigerode, dowodem pierwsze, bezprzykładne posiedzenie parlamentu. Do głosu zapisało się wielu deputatów z różnych stronnictw. Pierwszy występuje Eugeniusz Richter, ten Richter, który pół życia zatruł ks. Bismarkowi i który z nieugiętą wytrwałością gasi wszystkie promienie jego ekonomicznej sławy. Ostrym swym językiem powypruwał on z polityki kanclerskiej wszystkie złe nerwy, przedstawił szkodliwość ich wpływu na dobrobyt Niemiec, wynicował ostatnie posłanie cesarskie (*Botschaft*), którem Bismark „zamiast monarchę zasłonić sobą, siebie zasłonił monarchą" — słowem rzucił w sejmie bombę, która rozpryskując się w sarkazmach i dowodach, poraniła straszliwie kanclerskich mameluków. Zdawało się, że pobudzeni gniewem i boleścią, zerwą się oni i zaświadczą przynajmniej o tem, że zwyciężyć chcieli... Tymczasem Richter usiadł... w sali cicho... marszałek przywołuje kolejno mówców... wszyscy się zrzekają głosu... Nawet wódz pretoryanów v. Minnigerode milczy... nawet przy ministeryalnym stole żaden komisarz rządowy nie waży się ust otworzyć. Nie znalazł się nikt, ktoby po Richterze śmiał mówić lub mu przeczyć. Marszałek musiał zamknąć posiedzenie. Zaśmiała się Izba — śmiech ten był smutny. Dopiero na drugi dzień konserwatyści zmiarkowali doniosłość porażki i zaczęli się bronić... szkalowaniem zwycięzcy. Ale on, jak zawsze, umiał ich nadeptać. W mowie, zalecającej wyborcom berlińskim dodatkowo przedstawionego Günthera, rzekł: „Dlaczego nie odpowiedział mi nikt z przedstawicieli rządu? Przecie cała Rada Związkowa lądowa i wodna była obecną, a nikt nie śmiał przemówić, dopóki kanclerz nie zatelegrafuje. Po cóż ci panowie przyszli? Ażeby słuchać mojej mowy? Na drugi dzień mogli byli daleko wygodniej ją w dziennikach odczytać. A czemu nie było kanclerza? Ma on zdrowie, chęć i czas do odpisywania różnym jegomościom berlińskim, mógł więc był pofatygować się do parlamentu. Objaśnienie tego wypadku proste: wczoraj postępowcy wcześniej wstali (aluzya do znanej przechwałki Bismarka) niż kanclerz."

Berlin jest, jak wiadomo, gniazdem partyi postępowej w Niemczech. Otóż gdy jeden z jej wodzów zdobywał laury parlamentarne, drugi, na kilka dni przedtem uczczony został najchlubniejszym wieńcem za swą pracę naukową. D. 19 listopada święcili niemcy jubileusz 60-letniej rocznicy urodzin swego wielkiego badacza, Rudolfa Virchowa, którego imieniem ochrzcili w obfite już środki opatrzoną fundacyę opiekuńczą dla „nauki o człowieku." Zadanie tej instytucyi tak określił prezydujący w komitecie A. Bastian. „Gdy nowa epoka ma się otworzyć, wzywa swoich proroków, sługi i uczniów dla obwieszczenia światu zadań i wskazania wspólnych celów. Nasza doba już otrzymała swe hasło: jest niem *nauka o człowieku*, najwyższy i ostateczny cel dążeń ludzkich — o ile je dziś zmierzyć możemy. Czyż jakakolwiek umiejętność da się z nią porównać, a nawet czy jakakolwiek po za nią istnieje — bo przecie wszystkie w niej i do niej się zbiegają! W jej ognisku zestrzeliwać się muszą wszystkie promienie usiłowań materyalnego i duchowego uszczęśliwienia człowieka, a więc medycyna ze wszystkiemi swemi rozgałęzieniami, nauki realne i społeczne, statystyczne, wreszcie historya wraz ze swemi nowemi odnogami — antropologią i etnologią. Nic nie tworzymy bez zniszczenia, a zaiste, zniszczyliśmy już bardzo wiele. Wszędzie zaczyna się grunt chwiać pod nogami. Niejedną kolumnę, na której wspierały się przekonania naszych ojców, zrysował ząb czasu; inne spruchniały a wszystkim grozi ustawicznie przez starcie mniemań rozniecony pożar, który już zajął podstawy. Wzburzone fale ryczą, wypryskując pianę; powietrze, przepełnione gwarem różnorodnych głosów, odurza, oszałamia — a jednakże musimy puścić się śród burzy na rozwścieczone morze i szukać zbawczego portu — schronienia w nowej wiedzy, bo stara zbawić nas nie może. A któż poprowadzi tę obładowaną nadziejami przyszłości łódkę? Czyje ramię jest tyle silnem, że możemy mu powierzyć nasze skarby; czyje oko dość jasnem i bystrem, że dostrzeże gwiazdę przewodnią?"

Czytelnik naturalnie odgaduje, że tym wybrańcem mógł być tylko bohater uroczystości — R. Virchow. Odtrąciwszy świąteczną przesadę, przyznajmy „reformatorowi medycyny" i „założycielowi anatomii patologicznej," że on istotnie „dał nauce środki zastosowania w praktyce wielkich zdobyczy w teoryi." Z tego tytułu należy się Virchowowi zasłużona cześć. Bardzo sprawiedliwie rzekł on o sobie: „Nauka nasza wymaga pracy, wytrwania, pedanteryi i trzeźwości. Tę pedanteryę i trzeźwość starałem się powoli uczynić modą. Gdy rozpoczynałem, panował systemat filozofii natury, a gdyśmy podjęli z nim walkę, musieliśmy odważyć się na niejedno zuchwalstwo i utorowaliśmy ścieżkę wolności. Ale wreszcie trzeźwa metoda zdobyła sobie znaczenie. Wielu powie, że ona jest nudną, my wszakże z dumą na nią spoglądamy."

Niezliczone deputacye z olbrzymami wiedzy na czele przesunęły się przed jubilatem, składając mu słowa uznania. Były to przeważnie poselstwa uniwersyteckie, zebrane z różnych stron świata. Przedstawicieli uniwersytetu warszawskiego nie dostrzegliśmy, chociaż prof. Brodowski winien był się znaleźć. Co do fundacyi, wysokość jej posągu miała wynosić 30,000

---

skargę na ból głowy, poszła do siebie, do sypialni.

Fabiusz pozostał w pracowni. Czuł on dziwne, niepojęte dla niego znużenie. Przebywanie Mucyusza pod jego dachem, o które się sam dopraszał, sprawiało mu przykrość. Trudno powiedzieć, ażeby był zazdrosnym... czyż można było być zazdrosnym o Waleryę! Ale w swym przyjacielu nie poznawał już dawniejszego towarzysza. Wszystko to obce, nieznane, nowe, co Mucyusz zdobył w dalekich krajach i co, jak się zdawało, weszło w jego krew i kości — wszystkie te magiczne sztuki, pieśni, napoje dziwne, ten malajczyk niemy, nawet woń korzeni, którą czuć było odzież Mucyusza, jego włosy i oddech, wszystko to przejmowało Fabiusza uczuciem pewnego niedowierzenia, a nawet— przestrachu. I dlaczego ten malajczyk, usługując przy stole, z tak nieprzyjemną uwagą wpatruje się w niego? Doprawdy, mógłby kto pomyśleć, że rozumie po włosku. Mucyusz mówił o nim, że tracąc język, złożył wielką ofiarę i za to posiada teraz wielką siłę. Jaką siłę? i jak mógł jej nabyć za cenę języka? Wszystko to bardzo dziwne, bardzo niezrozumiałe! Fabiusz udał się do pokoju żony, która leżała na łóżku, w ubraniu— lecz nie spała. Posłyszawszy jego kroki, drgnęła, a potem znowu ucieszyła się jego przybyciem, jak w ogrodzie. Fabiusz usiadł przy łóżku, wziął za rękę Waleryę i po chwilowem milczeniu, zapytał ją, jaki to sen niezwykły nastraszył ją tej nocy? I czy był on w rodzaju tego snu, o którym opowiadał Mucyusz? Walerya zarumieniła się i spiesznie wyszeptała:

— O nie! nie! widziałam... jakieś dziwo, potwora, który mnie chciał rozszarpać.

— Dziwo? W postaci ludzkiej? — zapytał Fabiusz.

— Nie, zwierzęcej... zwierzęcej!

I Walerya odwróciła się i ukryła w poduszkach swą twarz płomieniejącą. Fabiusz jeszcze czas pewien potrzymał rękę żony, w milczeniu podniósł ją ku swym ustom i — odszedł.

Nie wesoło spędzili ten dzień małżonkowie. Zdawało się, że coś groźnego zawisło nad ich głowami... ale co — określić tego nie mogli. Pragnęli być razem, jak gdyby groziło im niebezpieczeństwo, a nie wiedzieli, co mają sobie powiedzieć. Fabiusz spróbował wziąć się do portretu, chciał czytać Ariosta, którego poemat, świeżo wydany w Ferarze, grzmiał już w całych Włoszech. Ale nie szło mu jakoś... Późno w nocy, na samą wieczerzę, powrócił Mucyusz. Wydawał się spokojnym, zadowolonym— ale opowiadał mało. Coraz więcej rozpytywał Fabiusza o dawnych, spólnych znajomych, o wyprawę niemiecką, o cesarza Karola; mówił o swym zamiarze udania się do Rzymu dla zobaczenia nowego papieża. Znowu zaproponował Waleryi wina z Szyrasu, i w odpowiedzi na jej odmowę, wyszeptał, niby do siebie:

— Teraz już nie potrzeba.

Powróciwszy z żoną do sypialni, Fabiusz prędko zasnął... a przebudziwszy się po godzinie, spostrzegł, że... Waleryi nie było przy nim. Podniósł się szybko i w tej samej chwili ujrzał żonę, w odzieży nocnej, wchodzącą z ogrodu do komnaty. Księżyc świecił jasno, jakkolwiek niedawno spadł deszczyk lekki. Z oczyma zamkniętemi, z wyrazem trwogi tajemnej na twarzy nieruchomej, Walerya zbliżyła się do łóżka i, namacawszy je wyciągniętemi naprzód rękoma, legła spiesznie w milczeniu. Fabiusz zwrócił się do niej z zapytaniem, ale nie nie odrzekła; zdawało się, że spała. Dotknął jej i poczuł na jej odzieży i włosach krople deszczu, a na podeszwach jej, nóg obnażonych — ziarnka piasku. Zerwał się i przez napół odemknięte drzwi pobiegł do ogrodu. Księżycowe, czerwonej jasności światło opromieniało wszystkie

marek. Złożono 65,000. Niemcy rozumieją zawsze, w jakim użytku najlepiej procentują kapitały ofiar publicznych.

Zwycięztwo partyi postępowej w wyborach do sejmu, zapał w uczczeniu jej wodza — nie są to wcale objawy, zawdzięczające swój wyskok chwilowemu natężeniu agitacyi lub przemiennym uniesieniom. W łonie tego potężnego narodu żyją ciągle popędy do wyzwalania myśli, której nawet taki pogromca swobody, jak ks. Bismark, okiełznać nie może. A gdy nawet w sferach politycznych zegnie dumne karki, w literaturze wyprostowują one się tem silniej. Dreszcz wolnomyślny przenika nawet te ciała, które przeciw niemu zażywają najkonserwatywniejsze pigułki. Ciekawym wytworem czasu i okazem duchowej przemiany współczesnych nam gatunków jest charakterystyczna książka, która świeżo ukazała się na widok publiczny p. t. *Testament niemca*. Nieszeroko znany jej autor, K. Ch. Planck poświęcił się naprzód teologii. Błądząc po jej odłogach, ani spostrzegł, kiedy się nagle znalazł na polu filozofii. Ponieważ rozbrat z dawną dziedziną był trudny i... zbyt śmiały, więc autor dopiero po śmierci wypowiadał się ze swych przekonań. Poucząjąca to spowiedź, bo dowodzi, jak biedny odstępca teologii chciał w jej ramy oprawić grzechy nowożytnego monizmu i... darwinizmu. Spłodził dziecię ułomne, ale nienadające się wcale do seminaryum protestanckiego. Jest nawet tyle zuchwałe, że kreśli baltazarowe głoski na ścianach obecnego militaryzmu niemieckiego, przepowiada „większe ludzko czasy" i odrzuca wiarę w *osobiste* istnienie po śmierci. Nic więc nie pomaga kitowanie szpar w teologicznem rusztowaniu i podpieranie jego rozpadających się ścian: promienie nowej wiedzy wciskają się szczelinami a jej fale podmywają grunt ruchomy. Nie zachęcam czytelnika do poznania tej książki, bo nieboszczyk, wijąc się w boleściach filozoficznych, jak gdyby dla uspokojenia zgryzot duszy, tak splątał język swego *Testamentu*, że tylko specyalni egzekutorowie jego myśli mogą je rozwikłać.

Zwierciadłem obecnych czasów jest również praca znanego historyka literatury angielskiej S. Gätschenbergera p. t. *Historya oświeconego samowładztwa i odrodzenia obyczajów* [1]). Są to właściwie dzieje cywilizacyi XVII i XVIII w., gdyż autor nie ogranicza się na sferze politycznej i społecznej, lecz zarówno uwzględnia religię, literaturę, sztuki, filozofię i obyczaje. Szczególną wyrazistość posiadają obrazy, przedstawiające: Anglię za czasów Pitta, Francyę za Ludwika XIV, Rosyę za Katarzyny II, Austryę za Józefa II i Prusy za Fryderyka II. Gätschenberger nie zasłania wcale ciemnych stron tego ostatniego lisa, a kreśląc następstwa jego niszczącej polityki, zdaje się, że słowa swoje adresuju do ks. Bismarka. „Pod znakiem liberalizmu — powiada on nawet wyraźnie — dopełniło się zjednoczenie narodu niemieckiego, ale owocem wspólnie odniesionych zwycięztw był tylko oświecony absolutyzm pruski, który tym razem występuje w parlamentarnych, ale wątłych formach, rozstraja stronnictwa, zyżywa lub rozpędza ludzi samodzielnych, dopóki nie osiągnie dyktatury, która po śmierci dyktatora pozostawi próżnię i kłopoty, jakie trwały od śmierci Fryderyka II aż do Jeny... Wysokie cła i podatki rujnują przemysł niemiecki i podnoszą ludowi cenę środków życia. Fiskus i monopol tytoniowy, gwiazdy przewodnie obecnej polityki pruskiej, świecące jej przed stu laty, są następstwem posiadania liczniejszego wojska, niż go utrzymać można. Ponieważ wszystko wpada w otchłań militaryzmu, każdy idealny poryw słabnie, występują jedynie interesy materyalne, toczy się między nimi i stanami walka, wybucha nienawiść wyznaniowa jak w wiekach średnich." Tak samo działo się za życia lub po śmierci Fryderyka II. Sprawiedliwa Nemezys karze znowu tą samą ręką niemców, która nas dławiła.

Od bieżących spraw politycznych odsuwa się praca T. Stieglitza, *Zasady rozwoju historycznego* na podstawie filozofii Schopenhauera [1]). Autor przez połączenie systematu tego myśliciela z empiryą przyrodniczą, usiłuje rozwiązać zagadnienie konieczności rozwoju historycznego, oznaczyć jego przyczyny, przebieg i cel. Głównem organem jest dla niego schopenhauerowska „chęć do życia" a regulatorem teorya Darwina. Egoizm staje się Erosem i Filią (miłością małżeńską i rodową); z narodowości wywiązuje się koniecznie międzynarodowa humanitarność. Ze zdania: „chcę mojego bytu," powstaje zdanie: „chcę naszego bytu" — *naszego* w znaczeniu całej ludzkości.

Niemożemy za autorem pójść dalej, gdyż nas obowiązuje tylko zaznaczenie podstawy jego dzieła. Dodać tylko winniśmy, że wykład jasny i ujmujący a całość stanowi bardzo poważne uzasadnienie naturalnej filozofii dziejów.

Sędziwy Ranke wydał drugą część swej *Historyi powszechnej*, obejmującą (w dwu tomach) *Rzeczpospolitę rzymską i jej panowanie nad światem*. Książka ta dopiero wyszła z drukarni, nie mogliśmy więc w niej się rozejrzeć.

Nakoniec *curiosum*. Znany czytelnikom *Prawdy* z pierwszego naszego sprawozdania artykuł K. Vogta „O kwestyi żydowskiej" (*Zur Judenfrage*) został przełożony przez S. Philippa na język... hebrajski i wyszedł we... Lwowie. Tłomaczenie jest podobno niezłe. Że też żydzi galicyjscy nie przełożyli sobie artykułu na język... polski. Tyluż przecież rozumiejących naszą mowę wykazała między nimi statystyka!

*Liber.*

[1]) *Geschichte der aufgeklärten Selbstherschaft und der Wiedergeburt der Sitten*, Lipsk, Wigand.

[1]) *Grundsätze der historischen Entwickelung aus den übereinstimmenden Prinzipien der Philosophie A. Schopenhauer's und der naturwischenschaftlichen Empirie*. Wiedeń, Bock.

## Przetwarzanie się stosunków rolnych w Rosyi.

Jak wiadomo, od r. 1861, jednocześnie z reformą włościańską, dozwolono w Cesarstwie każdemu nabywać ziemię na własność. Aż do owej pory ziemię mogły posiadać tylko osoby, należące do stanu szlacheckiego, inne zaś musiały za każdym razem starać się o pozwolenie władzy wyższej. Od roku też 1861 zaczyna się szereg zmian w rozdziale własności ziemskiej między rozmaitemi klasami ludności, zmian niezmiernie ważnych, bo połączonych z ciągle trwającym procesem gruntownego przekształcania się stosunków ekonomicznych i społecznych w Rosyi.

Przed rokiem 1861, do skarbu należało 64,6%, do szlachty 30,6%, do drobnych właścicieli ziemskich (kolonistów i t. d.) 1,7%, i do dóbr udzielnych [1]) 3,3% ogólnej przestrzeni Rosyi europejskiej. Po reformie zaś stosunek ten zmienił się radykalnie, — bo po jej ukończeniu rozdział własności ziemskiej przedstawia się tak:

[1]) Tak nazywają się dobra, właściwie także skarbowe, od których dochody jednak stanowią część integralną listy cywilnej.

---

przedmioty. Fabiusz rozejrzał się i spostrzegł w piasku dróżyny ślady dwu par nóg, z których jedna była bosa. Ślady te wiodły do altany z jaśminów, położonej między pawilonem i domem. Zatrzymał się w osłupieniu i oto, nagle, znowu zabrzmiały dźwięki tej pieśni, którą już słyszał nocy ubiegłej! Fabiusz wzdryga się, wbiega do pawilonu... Mucyusz stoi wpośród komnaty i gra na skrzypcach. Fabiusz rzuca się na niego.

— Byłeś w ogrodzie, wychodziłeś, odzież twoja mokra od deszczu!

— Nie... nie wiem... zdaje się... nie wychodziłem...—przerywając odpowiada Mucyusz, niby zdziwiony przybyciem Fabiusza i jego wzburzeniem.

Fabiusz chwyta go za rękę.

— I dlaczego znowu grasz tę melodyę? Czyliż znowu miałeś sen?

Mucyusz spogląda na Fabiusza z takiem samem zdziwieniem — i milczy.

— Odpowiadaj!

— Księżyc stał się okrągłą tarczą
Rzeka jak żmija błyszczała...
Przyjaciel obudził się, wróg spał,
Jastrząb kurę rozszarpywał...
Ratuj!

— mruczy Mucyusz, pośpiewując, niby w zapomnieniu.

Fabiusz cofnął się o dwa kroki, wpatrzył się w Mucyusza, pomyślał... i wrócił do domu, do sypialni.

Pochyliwszy na ramię głowę i rozkrzyżowawszy osłabione ręce, Walerya spała snem ciężkim. Nie prędko się jej dobudził... ale skoro go tylko ujrzała, rzuciła mu się na szyję, objęła go gorączkowo; drżała na całem ciele.

— Co ci jest, moja droga, co tobie? — powtarzał Fabiusz, usiłując ją uspokoić.

Ale Walerya coraz bardziej zamierała na jego piersi.

— Ach, jakieś straszne widzę sny, — szeptała, tuląc do niego twarz swoją. Fabiusz pragnął był wybadać ją... ale ona wciąż tylko drżała...

Blaskiem jutrzni zaróżowiły się szyby w oknach, gdy wreszcie zdrzymnęła się w jego objęciach.

Nazajutrz Mucyusz znikł od samego ranka, a Walerya oświadczyła mężowi, że zamierza pojechać do sąsiedniego klasztoru, gdzie mieszkał jej spowiednik, mnich stary i samotny, do którego czuła zaufanie bez granic. Na pytanie Fabiusza odrzekła, że pragnie spowiedzią ulżyć swej duszy, pognębionej niezwykłemi wrażeniami dni ostatnich. Spoglądając na wychudłą twarz Waleryi, słuchając jej głosu gasnącego, Fabiusz sam pochwalił jej zamiar: szanowny ojciec Lorenzo, mógł udzielić jej rady pożytecznej, rozproszyć jej wątpienia... Pod osłoną czterech przewodników, Walerya udała się do klasztoru, a Fabiusz pozostał w domu i, aż do powrotu żony, chodził po ogrodzie, starając się pojąć, co się z nią działo i czując strach ciągły, gniew i boleść podejrzeń nieokreślonych... Nie jednokrotnie zachodził do pawilonu: ale Mucyusz nie wracał, a malajczyk spoglądał na Fabiusza jak bałwan, nachyliwszy głowę, z głęboko — tak przynajmniej zdawało się Fabiuszowi — głęboko zatajonym uśmiechem na twarzy bronzowej. Tymczasem Walerya opowiedziała wszystko swemu spowiednikowi, przerażona raczej niż zawstydzona. Mnich wysłuchał ją uważnie, pobłogosławił, odpuścił jej grzech mimowolny — a sam pomyślał sobie: „czary diabelskie... tego tak pozostawić nie można..." i razem z Waleryą udał się do jej willi, jak gdyby dla ostatecznego uspokojenia jej i pocieszenia. (D. n.)

| | |
|---|---|
| Skarb | 45,6% |
| Szlachta | 16,4 |
| Dobra udzielne | 1,8 |
| Włościanie dawniej skarbowi | 11,4 |
| Włościanie dawniej szlacheccy | 16,5 |
| Włościanie dawniej udzielni | 1,14 |
| Koloniści | 0,96 |
| Inni właściciele | 6,2 |

Ostatnia rubryka, zupełnie nowa, wskazuje, że w ciągu kilku lat po roku 1861 inne stany, do tej pory pozbawione prawa posiadania ziemi na własność, natychmiast po zniesieniu tego zakazu rzuciły się do kupna gruntów i nabyły ogromne przestrzenie, bo już około roku 1875 w ręku tych nowych właścicieli, przeważnie kupców, znajdowało się 24,600,000 dziesiatyn.

Po uwłaszczeniu więc w ręku szlachty rosyjskiej, bądź co bądź, najbardziej ucywilizowanej i najlepiej obznajomionej z gospodarstwem wiejskiem, pozostało tylko 16,4% ogólnej przestrzeni, reszta zaś — w posiadaniu właścicieli rozmaitych kategoryj, pod względem ukształcenia stojących daleko niżej. Stosunek ten ciągle się zmienia na niekorzyść szlachty, coraz bardziej tracącej grunt pod nogami. Ministerium Dóbr Państwa w roku zeszłym wydało pierwszy tom dzieła, pod tytułem: *Materyały do zbadania teraźniejszego stanu własności ziemskiej i gospodarstwa wiejskiego w Rosyi*. Chociaż dzieło to zawiera niewiele ścisłych danych liczebnych, pomimo to jednak wystarczają one do zrozumienia procesu, odbywającego się ciągle w dziedzinie stosunków wiejskich Rosyi. Wskazówki *Materyałów* świadczą, że ekonomiczne i społeczne żywioły Cesarstwa układają się w jakiś nowy porządek rzeczy, jeszcze daleki od ustalenia się, lecz już dość wyraźnie rysujący swoją ogólną tendencyę.

*Materyały* przekonywają o powszechnym upadku gospodarstw szlacheckich. W gubernii twerskiej ilość dworów zmniejszyła się z 2,860 do 1,802, z odpowiedniem zmniejszeniem gruntów dawniej należących do szlachty. Zmiany te nastąpiły w ciągu ostatnich lat 19—20, po roku 1861. To zmniejszenie ilości dworów przekonywa, że dobra szlacheckie znikają całkowicie, a nie odłamują się od nich drobne części, bardziej oddalone lub wogóle dla jakichbądź powodów nieprzydatne dla gospodarstwa folwarcznego. W gubernii tulskiej, która do dziś pozostała jeszcze bardziej szlachecką niż inne, szlachta straciła już połowę swoich gruntów, bo z 2,075,000 pozostało w jej ręku tylko 1,068,500 dziesiatyn. Urywkowe dane z innych miejscowości odsłaniają zjawiska zupełnie identyczne.

Rozmaite usiłowania pojedyńczych działaczów, usiłujących sparaliżować wpływy rujnujące gospodarstwa szlacheckie, prawie wszędzie przepadają bez skutku. Ziemia niepowstrzymanym prądem ucieka od szlachty w ręce plebejuszów, kupców i włościan. Ci ostatni kupili: w gub. twerskiej 469,545 dziesiatyn; w kazańskiej 21,496 d.; w samarskiej 309,605 d.; w saratowskiej 213,646 d.; w chersońskiej 152,451 dz. Ogółem tylko w 68 powiatach, o których dostarczono wiadomości, włościanie kupili 1,370,127 dziesiatyn. Liczba ta sama przez się jest bardzo wymowna, lecz najbardziej rażącą jest trwałość tej dążności i zupełny brak zjawisk odwrotnych: coraz wymknie się z rąk własności większej, zdaje się być dla niej bezpowrotnie straconem. Szkoda, że w *Materyałach* zupełnie prawie niema doniesień o tem, wiele gruntów przeszło w ręce kupców i innych stanów. Wypadkowo wszakże znajdujemy w nich wiadomości, że w gubernii tulskiej przeszło w ręce kupców więcej niż 1,000,000 dziesiatyn gruntów szlacheckich. Z tej jednej liczby możemy mieć niejakie wyobrażenie o tem, do jak ogromnych rozmiarów dochodzi własność ziemska kupiectwa. Pomimo tych szczerb, ogólny charakter tego przewrotu rolnego jest zupełnie widocznym. Własność ziemska przechodzi w ręce *stanów nieuprzywilejowanych*.

Jednocześnie z powiększeniem się gruntów włościańskich, *Materyały* zaznaczają objaw zupełnie odwrotny, mianowicie formowanie się klasy włościan bezrolnych, proletaryuszów wiejskich. Redakcya *Materyałów* uznała za potrzebne dodać w tej drażliwej sprawie kilka wyrazów uspakajających, bo — według niej — wnosić należy, że ilość bezrolnych wogóle raczej się zmniejsza niż zwiększa, gdyż w ostatnich latach wogóle zmniejszyły się działy familijne pomiędzy włościanami. Byłoby to istotnie pocieszającem, ale, niestety, w *Materyałach* znajdujemy dane, zmuszające do przypuszczeń wprost przeciwnych. W dwu miejscowościach spotykamy ogromne powiększenie się ilości bezrolnych, a w jednej daleko słabsze zmniejszenie. Na tej szczupłej podstawie faktycznej niepodobna opierać wniosków ogólniejszych. Według redakcyi *Materyałów*, zwiększenie ilości bezrolnych zależy bezpośrednio od działów familijnych; jeżeli te ostatnie nie dokonywają się, słabnie też jednocześnie proces wytwarzania się klasy włościan bezrolnych. Taki pogląd nie wytrzymuje krytyki. Naprzód nie wiemy, dlaczego włościanie rzucają swoją ziemię, a powtóre faktyczne dane, w *Materyałach* zawarte, wcale nie świadczą o zmniejszeniu się działów familijnych.

Owszem na str. 15 czytamy: „Działy familijne prawie wszędzie zwiększają się. Prawie żadna rodzina, w której jest kilku synów żonatych, nie pozostaje w gospodarstwie wspólnem. Bez przesady rzec można, że ilość oddzielnych osad powszechnie zwiększyła się o 25 do 30%.“ Na str. 17 znajdujemy, według redakcyi, typowy dla całej Rosyi przykład dwu wsi, Lozowatowki i Elizawietowki (gub. ekaterynosław.), w których na 548 osad tylko jedna ma pięciu robotników, 2 osady z czterema, 28 z trzema, 69 osad z dwoma i 448 osad— po jednym robotniku!

Liczby te są po prostu rażące, tak że trudno sobie przedstawić bardziej natężony proces rozdrabniania rodzin. Ani liczebne dane, ani ogólniejsze wnioski nie dają żadnego prawa do twierdzenia, że ilość bezrolnych „raczej zmniejsza się niż powiększa.“ Ilość zaś bezrolnych, podana w *Materyałach*, sama przez się jest bardzo groźną. Znajdujemy tam dane co do 4 gubernij, 6 powiatów i 30 gmin oddzielnych, mianowicie bezrolnych jest:

W guberniach: twerskiej 9,966, orłowskiej 10,858, chersońskiej 16,685, tauryckiej 13,755. W powiatach: jamburskim 451, jurjewieckim 474, nowozybkowskim 650, kineszemskim 933, galiczskim 1,247, belebejowskim 3,302.

Z trzydziestu zaś gmin niema bezrolnych tylko w dwu. A więc proletaryusz wiejski stał się w Rosyi zjawiskiem zupełnie zwykłem. Dodać tu jeszcze wypada, że w *Materyałach* występują ci tylko z bezrolnych, którzy są zapisani jako stali mieszkańcy gmin — a kto wie, ilu trzeba jeszcze dodać takich, którzy do tej grupy nie należą? Odpowiedź na to daje nam gubernia chersońska, w której jest 9,254 bezrolnych, niezapisanych w gminach.

Szybkie wytwarzanie się klasy włościan bezrolnych, równolegle z wybitnem gromadzeniem się ziemi w ręku włościan, przedstawia nam zmianę społeczną niezmiernie ważną i charakterystyczną. Niepodobna wytłomaczyć jej działami familijnymi — przyczyn tego groźnego procesu trzeba szukać gdzieindziej, w ogólnem położeniu ekonomicznem kraju, niesprzyjającem prawidłowemu rozwojowi dobrobytu mas ludu wiejskiego.

Powyżej widzieliśmy, że dużo ziemi przechodzi ciągle do włościan; lecz kto ją mianowicie kupuje? W *Materyałach* znajdujemy odpowiedź ścisłą tylko co do 682,704 dziesiatyn. Z tej liczby 443,477, to jest 65%, nabyte zostały przez *osoby prywatne*, t. j. przez pojedyńczych włościan; resztę zaś 239,227 dzies. (35%) kupiły całe gromady wiejskie. Średnio na jednego nabywcę przypada około 20 dziesiatyn, wogóle zaś, sumując detaliczne dane materyałów, mamy obraz ogólny taki:

| Ilość ziemi przypadającej na jednego nabywcę: | Ilość nabywców pojedyńczych: |
|---|---|
| Do 20 dziesiatyn | 133 |
| Od 20 do 100 | 22 |
| „ 100 „ 200 | 10 |
| „ 200 „ 600 | 6. |

Ostatnie trzy kategorye bezwarunkowo potrzebują najemnika; widzimy więc, że tendencya wyzyskiwania pracy występuje u 21% włościan nowonabywców ziem szlacheckich — procent tembardziej znaczący, że te nowe żywioły wyrosły z jednostajnej masy gminu w ciągu lat najwyżej 20.

Nowe prądy oddziaływają nawet na tradycyjne podstawy bytu włościan. Wyżej mówiliśmy o działach familijnych, lecz daleko ważniejsze są wypadki przejścia włościan od własności wspólnej (*obszczyny*) do osobistej. Według tego, co znajdujemy w *Materyałach*, o guberniach: jarosławskiej, kazańskiej, mińskiej, mohylewskiej, twerskiej i tulskiej, „we wszystkich tych miejscowościach, szczególnie podczas lat ostatnich, liczne zdarzały się wypadki przejścia od posiadania wspólnego do własności osobistej, zarówno co do ziemi nadanej włościanom przy uwłaszczeniu, jako też nabytej przez gromady w czasie późniejszym.“ W twerskiej gubernii rozdzieliło się 49 gromad (5,358 dusz); w tulskiej 140 gromad, z ludnością 14,829.

Z faktów powyższych najbardziej powszechnym i ważnym, przynajmniej ze względu na rozmiary, jest niezaprzeczenie utrata ziemi przez dawnych jej właścicieli, t. j. przez szlachtę. Nie można przypuszczać, aby takie porzucanie swoich siedzib i dziedzictw odwiecznych dokonywało się dobrowolnie, owszem, jest ono wynikiem nieubłaganej konieczności. A więc nie podtrzymano chyba dawnych właścicieli w krytycznej chwili zmiany stosunków rolnych, nie wsparto ich kredytem, nie dostarczono kapitału obrotowego w pieniądzach, dla zastąpienia dawnej pańszczyzny przymusowej? Przeciwnie. Do dnia 1 stycznia 1877 roku wypłacono dziedzicom $695\frac{1}{2}$ milionów rubli w tak zwanych świadectwach wykupowych, przynoszących 5 i $5\frac{1}{2}$%, a mających kurs wcale dobry. Oprócz tego, ze świeżo urządzonych banków ziemskich, również do dnia 1 stycznia 1877 r., zaciągnięto pożyczek na $281\frac{1}{4}$ milionów rubli, razem więc blisko *miliard rubli!* Nikt chyba nie zaprzeczy, że taka suma z nadmiarem wystarczyłaby dla porządnego zagospodarowania pozostałych po uwłaszczeniu obszarów, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, że jeszcze w wielu miejscach włościanie t. z. czasowo-zobowiązani odrabiają pańszczyznę dotąd.

Doliczmy do tego dochody od ziemi, które rosną ciągle, czego dowodem wysoka w niektórych guberniach cena dzierżawna (n. p. w gub. tambowskiej za dziesiatynę płacą od 15 do 18 rubli). Wiele ta rubryka gromadzi w całej Rosyi, o tem, pomimo rządowej i ziemskiej statystyki, nikt niema nawet przybliżonego pojęcia; śmiało jednak rzec można, że dochód od 63,700,000 dziesiatyn ziemi, która pozostała szlachcie już po nadaniu gruntów włościanom, przynosi rocznie co najmniej 150 milionów rubli — a może i znacznie więcej. Pamiętajmy, że znaczna większość posad we wszystkich urzędach cywilnych i wojskowych zajęta jest też przez członków tego uprzywilejowanego stanu, co kilkadziesiąt milionów z budżetu państwa wycią-

ga rocznie na jego zasiłek. Dołączmy wreszcie lasy sprzedane (bo ta operacya zawsze poprzedza wyzucie się z ojczystego majątku i sprzedaż jego ostateczną), a wtedy będziemy mieli przybliżone pojęcie o tym ogromie środków roztrwonionych bezpowrotnie, o tej bezprzykładnej w historyi rozrzutności.

Lecz może to zdumiewające zjawisko da się wytłomaczyć zupełnym niepodobieństwem prowadzenia gospodarstwa folwarcznego przez najemnika, którym należało po reformie zastąpić dawną pańszczyznę? Dostateczną w tym względzie odpowiedzią byłoby zwrócić uwagę na wysoką cenę dzierżawną w miejscowościach najbardziej obdłużonych, oraz na ten fakt, że wysoka renta nie przeszkadza przejściu dóbr w ręce kupców i włościan. Lecz można przytoczyć i dowody żywe, przykłady istniejące. Oto n. p. dobra Trabetczyno (gub. tambowska), księcia W. Wasilczykowa[1]), składające się przed reformą z 900 dziesiatyn, przynosiły wówczas średnio 14,000 rubli. Reforma zredukowała je do 5,000 dziesiatyn, (w tej liczbie 2,000 d. lasu), pomimo to w kilka lat po reformie dochód czysty wzrósł do 28,000 r., a w r. 1878 — wynosił już prawie do 100,000 r.! Takich przykładów możnaby naliczyć więcej, lecz zawsze są to zjawiska niezmiernie rzadkie, w stosunku do ogromnej reszty, wyzyskującej ziemię i lud okoliczny bez żadnej myśli o przyszłości.

Lecz gdzież podziały się te kapitały olbrzymie? jakaż to otchłań pochłonęła je bez innego śladu, prócz ruiny i upadku tej właśnie klasy, która nimi rozporządzała dowolnie? Bulwary Paryża, Homburg, Baden-Baden, Monaco; krociowe budżety utrzymywanych z dochodu od kart licznych klubów; szalony wzrost przywozu wszystkich artykułów zbytecznych — oto odpowiedź. Wzrost ceł wchodowych niejednokrotnie przytaczano za dowód wzrastającego dobrobytu, bo juści wydaje na zbytki ten, co ma na to. Zapewnie, tylko że wydawano nie odsetki, lecz sam kapitał, częstokroć doszczętnie. W rezultacie dotychczasowym widzimy: rozkład własności większej, z którego w małej tylko odrobinie korzystają klasy pracujące, przeważnie zaś kupcy i kułacy (spekulanci) wszelkiego gatunku; upadek gospodarstwa, zubożenie mas ludowych, które z deszczu szlacheckiego trafiły pod rynnę kułacką; widoczną szczerbę w solidarnym ustroju własności gminnej; a przez wszystko to w perspektywie, i to niedalekiej, dają się już rozeznać znajome, ale niepomętne kontury panowania kapitalizmu, lecz bez jego stron dodatnich, które bądź co bądź przyłożyły się do wytworzenia na zachodzie Europy jej wysokiej cywilizacyi; powtarzamy wyraźnie, bez stron dodatnich, boć przepaść rozdziela spekulanta od francuskiego bourgeois lub niemieckiego bürgera.

Zakończmy obrazem. P. Alferaki, sam obywatel ziemski, znawca stosunków południowej Rosyi, w ten sposób maluje następstwa tamecznej gospodarki.

„Pustynia średnio-azyatycka posuwa się do nas coraz bliżej, posuwa się nieustannie, grożąc ostateczną zagładą chlebodajnym równinom naszego południa. Gdzie był bujny, rodzajny step, tam coraz bardziej rozpościera się spalona przez słońce pustynia, z wszystkiemi jej okropnemi cechami: bezpłodnością, posuchą, szkodliwemi dla kultury owadami i zwierzętami, z epizootyą — nieuniknioną wskutek braku paszy i wody przydatnej do picia. My zaś — nic nie robimy dla zatamowania straszliwego pochodu pustyni; przeciwnie, naoścież otwieramy wrota, niszcząc na jej drodze wszelkie przeszkody.....“

*B—i.*

[1]) Brata znanego, niedawno zgasłego pisarza.

## KILKA UWAG O SOMNAMBULIZMIE.

II.

Jeden z członków zjazdu przyrodniczego miał się wyrazić podczas rozpraw nad doświadczeniami p. Ochorowicza, że w objawach somnambulizmu należy upatrywać działanie nowej jakiejś, nieznanej nam dotąd siły. Jaką ma wartość to zdanie w odniesieniu do zjawisk życiowych, a tem samem i do somnambulizmu — starałem się wykazać w poprzedzającym ustępie. Tu więc zajmę się tylko zbadaniem owej kwestyi w najogólniejszem jej znaczeniu, a mianowicie: czy należy przypuszczać, ażeby w obecnych warunkach naszej planety mogły się pojawiać nowe siły, różne od tych, jakie teraz działają w przyrodzie?

Mniemanie, że mogą w przyrodzie występować nowe siły, jest dziś powszechnem, jeżeli nie między przyrodnikami (chociaż i wśród nich znajduje ono swych wyznawców), to w każdym razie między ludźmi, którym nie można odmówić naukowego wykształcenia. Ostatecznym argumentem, którym wyznawcy jego starają się zamknąć wrota swym przeciwnikom, żądającym od nich rozumowych dowodów, jest znany powszechnie aforyzm, zapożyczony od Szekspira: „Są na ziemi i na niebie cuda, o których ani się śniło naszej filozofii.“

Wątpię, ażeby ten aforyzm można było uważać za argument, stanowczo rozstrzygający sporną kwestyę. Jak każdy inny, ma on to do siebie, że wyprowadzając myśl prawdziwą w sposób ogólnikowy, daje się nagiąć do wszystkiego, tembardziej że przez wyraz *cud* każdy może rozumieć, co mu się tylko podoba, i ukrywać po za nim, jak za parawanikiem, najdziwaczniejsze nawet przypuszczenia i przesądy. Zresztą minęły te czasy niepowrotnie, kiedy powaga imienia lub zręcznie dobrana cytata starczyły za dowody w zagadnieniach naukowych. Dzisiaj powaga o tyle tylko znaczy w nauce, o ile ma za sobą poparcie faktów doświadczalnych i opartych na nich wywodów logicznych.

Co się tyczy filozofii, ta w dzisiejszej swej postaci bynajmniej nie grzeszy zarozumiałością, jaką się odznaczała jej poprzedniczka, która wierząc niezachwianie, że w głębi ducha ludzkiego kryje się prawda bezwzględna, zapowiadała emfatycznie, iż potrafi wydobyć ją na jaw i przy jej świetle wytłomaczyć wszystkie tajemnice stworzenia. Dawszy za wygraną wszelkim pościgom za absolutem, wyrzekłszy się bezowocnych badań nad istotą rzeczy i pierwszą ich przyczyną, ogranicza się ona w swem zadaniu do poznania zjawisk świata i wykrycia praw, które niemi rządzą. Przyznaje ona z całą skromnością, że to, co dotąd zbadała i pojęła, stanowi tylko małą cząstkę rzeczywistości, zaledwie główny jej zarys, do którego wypełnienia bardzo wiele jej jeszcze brakuje; że są w przyrodzie zagadnienia, do których rozwiązania zbywa jej dotąd na potrzebnych danych; że istnieją w niej tajemnice, których obecnie ani się domyśla i które kiedyś dopiero będą wykryte i wyjaśnione. Z tem wszystkiem ma ona pewne prawo utrzymywać, że pomiędzy wszystkimi tymi cudami, jakie się dzieją i dziać będą na ziemi i na niebie, nie znajdzie się ani jeden, któryby był zaprzeczeniem praw przyrody, wykrytych i sprawdzonych dotychczasowem doświadczeniem, któryby był ich pogwałceniem albo wyjątkiem od nich; ma ona pewne prawo utrzymywać, że owymi cudami są i będą nie nowe siły, po raz pierwszy występujące w naturze, ale tylko nowe zjawiska sił oddawna czynnych i znanych, nowe ich własności i nowe zastosowania.

Mówić o nowej sile, występującej do działania w przyrodzie, jest to twierdzić, że w szeregu zjawisk, dostępnych naszemu postrzeganiu, objawiają się całe ich grupy, które tak dla swych właściwości, jak i ze sposobu oddziaływania na inne, nie mogą być podciągnięte pod żadną ze znanych dotąd grup, nie mogą być zaliczone ani do objawów ciepła, światła, elektyczności, ani do zjawisk chemicznych lub biologicznych. Otóż twierdzenie to już z tego względu wydaje się podejrzanem, że dzieje nauk uczą nas wymownie, iż wszystkie owe siły, do jakich uciekano się w przeszłych czasach każdym razem, gdy się spotykano w badaniach ze zjawiskami zagadkowemi, okazywały się po bliższem rozpatrzeniu rzeczy urojeniami bujnej wyobraźni, a owe zjawiska zagadkowe — objawami sił stale czynnych w naturze i oddawna znanych. Okazuje się zaś zgoła fałszywem, gdy weźmiemy pod uwagę, że sprzeciwia się ono uznanemu porządkowi świata. Gdy bowiem przez przyrodę nic innego nie możemy rozumieć, jak pewne, mniej lub więcej stałe, ugrupowanie się zjawisk, opierające się na powszechnej dążności pierwiastków świata do równowagi — to wystąpienie na jaw nowej siły, całej grupy zjawisk, różnych od tych, które dotąd istniały, musiałoby pociągnąć za sobą z konieczności powszechny przewrot w świecie, zburzyłoby dotychczasową jego równowagę, zmuszając składowe jego części do nowego ugrupowania się, do układania się w nowym porządku — takim, w którymby nowa siła właściwe dla siebie miejsce znalazła. Tymczasem codzienne doświadczenie, zarówno jak i nauki przyrodnicze, a nareszcie sama historya, przekonywają nas dowodnie, że panuje w przyrodzie pewien porządek, polegający na tem, iż pewne własności stale są związane z pewnemi ciałami, że prawa, rządzące zjawiskami świata fizycznego i umysłowego, są wszędzie te same i nie różnią się od tych, które panowały w świecie od najdawniejszych czasów, słowem, że te same przyczyny w tych samych warunkach wszędzie i zawsze sprowadzały te same skutki. A jakkolwiek spostrzeżenie to jest prawdą dowiedzioną tylko w odniesieniu do minionej przeszłości, nie traci ono swej wagi i na przyszłość. Jest postulatem wyraźnym lub domniemalnym wszystkich naszych myśli, naukowych wywodów i całego zakresu praktyki życiowej. Wiara w porządek świata nie pozwala nam ani na jedną chwilę przypuścić, by mogły w przyrodzie zachodzić przewroty, któreby były nie następstwem układania się jej pierwiastków do równowagi, ale skutkiem występowania nowych sił, wkraczających w sferę starych i przebojem zdobywających sobie wśród nich miejsce.

Oprócz tego, są jeszcze inne powody, dla których nauka nie może się zgodzić na przypuszczenie, ażeby mogły się objawiać nowe jakieś w świecie siły.

Przypuszczenie to opiera się głównie na fałszywem pojmowaniu sił, jako pewnych bytów niezależnych w swem istnieniu od zjawisk, za pomocą których objawiają się, panują nad materyą i kierują wszystkiemi jej przemianami. Ten sposób pojmowania sił nauka oddawna już zarzuciła. Zresztą i w tem nawet rozumieniu rzeczy powyższe przypuszczenie nie da się niczem usprawiedliwić. Wystąpienie bowiem nowej siły nie byłoby niczem innem, tylko powstawaniem czegoś z niczego — co jest przeciwnem prawu przyczynowości i czego pojąć w żaden sposób nie możemy.

Nauka zapatruje się dziś na siły, jako na odmiany ruchu, pojmując go nie abstrakcyjnie, w oderwaniu od materyi, ale w jego rzeczywistym objawie, jako przenoszenie się materyi z miejsca na miejsce, jako ruch bądź ciał, bądź składowych ich cząsteczek.

Z tego stanowiska powstawanie nowej siły w przyrodzie możnaby przedstawiać sobie dwojako: a) że z dawnej ilości ruchu, istniejącego w świecie, wytwarza się nowa jego ilość, która też objawia się w nowym kształcie, jako odmienna siła; albo b) że dana ilość ruchu pozostaje w świecie niezmienna i tylko pewna część jego przybiera nową postać wskutek zmian, jakie zaszły w uwarunkowaniu się rzeczywistości, która podlegając prawu rozwoju, ciągle się przeobraża i w coraz większej przedstawia się rozmaitości.

Pierwsze przypuszczenie, jako wręcz przeciwne zasadzie przyczynowości, musimy odrzucić. Dana ilość ruchu nie może sama się powiększać, ani zmniejszać. Wszystkie zjawiska świata polegają na przemianie ruchu i materyi, których ilość w świecie jest stała i niezmienna.

Co do przypuszczenia drugiego, to, jakkolwiek nie sprzeciwia się ono w sposób tak rażący jak poprzednie zasadom nauki, a nawet ma pewne prawdopodobieństwo za sobą, również okazuje się bezpodstawowem, gdy mu się bliżej przypatrzymy. Zważmy bowiem, że w pojęciu siły, jak ona się przedstawia naszemu badaniu, musimy odróżniać dwa pierwiastki: przedmiotowy i podmiotowy. Przedmiotowym jest pewna forma ruchu, zależna od warunków zewnętrznego świata; podmiotowym jest wrażenie, jakie ruch ów w danej formie wywiera na organizm zwierzęcy, które to wrażenie zależnem jest znowu od warunków organizacyi zwierzęcej. Ażeby więc pewna ilość ruchu istniejącego w świecie mogła wystąpić w nowej formie, równoważnej tym, które stanowią podstawę zjawisk ciepła, światła i t. d. wprzód musiałaby w porządku świata zajść zmiana, któraby wytworzyła nowe warunki bytu i zarazem spowodowała odpowiednie im przeobrażenie w organizacyi zwierzęcej. Byłby to więc przewrót, któryby swą donioslością przewyższał wszystkie dotychczasowe przemiany, jakie świat przebył. Najnowsze bowiem badania uczą nas, że od początku świata czynnemi były te same siły, co i dzisiaj; że do wytłomaczenia wszystkich zjawisk kosmicznych, wszystkich przewrotów geologicznych wystarczają te same prawa, które wykrywamy w obecnych nam zjawiskach przyrody. Z drugiej strony dzieje rozwoju życia na naszej planecie wykazują, że w całym szeregu stworzeń żyjących, zaczynając od monery, a kończąc na człowieku, niema ani jednego, pozbawionego władzy odczuwania wrażeń którejkolwiek z istniejących sił w przyrodzie; że w każdem są odpowiednie tym siłom zmysły, chociaż nierówno w nich rozwinięte, albo nawet, jak u najniższych tworów skupione bez wyróżnienia w jednym — w zmyśle dotykania. Z tego, co się działo w przeszłości, mamy prawo wnosić, co się w przyszłości dziać będzie. Z tego, że w przeszłości cały rozwój przyrody dokonywał się w kierunku coraz większego urozmaicania się zjawisk, przechodzenia prostych form życia w bardziej złożone; że przyczyną tego rozwoju było nie występowanie coraz to nowych sił, ale powolne działanie sił od samego początku istniejących; — mamy prawo wnosić, że i na przyszłość rozwój przyrody i organicznego życia będzie miał ten sam charakter. Nic nas przynajmniej nie uprawnia do tego, byśmy mogli mieć inne pojęcie o przyszłych dziejach świata, niż to, które nam nasuwa znajomość przeszłości.

Przyjmując powyższe wywody, możnaby jednakże zrobić uwagę, że siła, którą my uznajemy za nową, może nią być w tem znaczeniu, iż jej objawy teraz dopiero spostrzegamy, chociaż czynną była zawsze w przyrodzie. Uwaga ta jednakże traci swą wartość wobec zarzutów, jakie jej można uczynić. Najprzód, trudno uwierzyć, ażeby jakaś siła, czynna, a więc oddziaływająca na inne siły, mogła zostawać w ukryciu przed badawczem okiem człowieka, skrzętnie rozpatrującego się w przyrodzie i zdającego sobie sprawę z tego, co się w koło niego dzieje; ażeby rozległa grupa zjawisk tej doniosłości, co światło, ciepło itd. tak słaby wywierała skutek w uwarunkowaniu się świata, że teraz dopiero lub w dalszej przyszłości mogła być odkrytą. Następnie, wiadomo nam z dziejów nauki, że w odległej starożytności, od chwili, kiedy człowiek wzniósłszy się do oderwanych pojęć, zabrał się do uporządkowania swych spostrzeżeń na podstawie wspólnych cech, które różnorodne zjawiska w sobie zawierały, znane już były w zasadniczych swych własnościach wszystkie wiadome nam dziś siły, nie wyjmując elektryczności, której głębsze zbadanie przypada na nasze czasy. Dziejowy postęp wiedzy polega nie na wykrywaniu nowych sił, ale na gruntowniejszem poznaniu własności sił odwiecznie istniejących i znanych, na zbadaniu praw ich działania i na wyszukiwaniu nowych zastosowań, do jakich dadzą się użyć w szczególnych wypadkach. (D. n.)

---

## Gustaw Zieliński

(wzmianka pośmiertna).

---

Z nielicznego grona weteranów świetnego okresu poezyi naszej śmierć zabrała świeżo Gustawa Zielińskiego, który na kartach literatury polskiej zapisał swe imię jako autor *Kirgiza*, cieszącego się dotąd niezwykłą popularnością. Zmarły należy do tych talentów, których żywotne siły wykwitły w jednem pięknem dziele, bo chociaż napisał kilka innych poematów, powieści i legend, nie dodały one nowych listków do wieńca jego sławy. *Kirgiz* przepełniony wspaniałą opisowością, tchnący całym urokiem i wonią natury stepowej, powstał z wrażeń pobytu autora w południowej Syberyi (r. 1833), dokąd go zagnały koleje zaburzeń politycznych. Poemat ten narodził się wtedy, gdy oryentalizm w literaturze europejskiej i naszej był bardzo modnym; gdy wszyscy niemal więksi poeci czerpali z tej krynicy pomysły swoje, pragnąc nadać obrazom fantazyi gorący i namiętny koloryt. Zieliński jednak nie tworzył pod wpływem mody, nie był ślepym naśladowcą Byrona i Moore'a, tych przodowników romantycznego oryentalizmu, ale z wielkiem poczuciem prawdy, z siłą i barwistością oddał w ślicznej formie językowej piękności azyatyckiego stepu, zawarłszy w szczupłych ramach powieści treść bogatą, nawskroś tragiczną, opartą na realnych obyczajach danej sfery społecznej. Walka miłości z obowiązkiem zemsty, nakazanej przez okrutny obyczaj kirgiski, zakończona śmiercią tragiczną kochanków, którzy giną w płomieniach stepu, zapalonego przez mściwą rękę ojca bohaterki — oto główny motyw poematu, około którego poeta z wielkim wdziękiem oplótł cały szereg epizodów i scen malowniczych. Pod względem artystycznym *Kirgiz* stanowi jeden z najpiękniejszych wzorów poetycznej powieści, odznacza się harmonią i swobodą, doskonałą spójnością wszystkich części, z których każda jest wykończonem odrębnie malowidłem. Jako w poezyi nawskroś epicznej, malowidło natury zewnętrznej przeważa tu nad charakterystyką osób działających, rzuconą szkicowo, zewnętrznie, ale śmiało i wyraziście. Na dnie poematu spoczywa prawda realna. Sceny i zwyczaje życia koczowniczego autor zabarwił trochę kolorytem miejscowym, ale wierny poetycznemu stanowisku, nie wysuwał naprzód rysów zbyt realnych, umiejąc nadać niektórym z nich wdzięk istotny. Największą jednak okrasą tego utworu jest mistrzowskie odczucie opisywanej przyrody, świetne uwydatnienie życia, drzemiącego w jej płodach, oraz prześliczny potoczysty język, dźwięczący formą płynną, muzykalną i harmonijną.

Inne płody talentu Zielińskiego mają przeważnie ułamkowy charakter, są splotami pięknego często liryzmu i opisowości. Poemat *Stepy*, pokrewny treścią *Kirgizowi*, posiada ustępy pełne aromatu i wdzięku, ale jest wogóle mglistym, składa się z kilku niezupełnie spojonych ze sobą całostek. Część pierwsza rozpływa się w szeregu szerokich powietrznych obrazów; w drugiej (*Góry*), obok ustępów opisowych, znajdujemy fantazyowanie na tematy buddyjskiej mistyki; w trzeciej (*Bojga*) autor kreśli harce kirgizów pod wodzą dzielnego sułtana Kodara. Pojedyncze piękności, nieskupione koło jednolitej akcyi, rozpierzchają się w myśli czytelnika, który naprózno w powodzi obrazów chwyta przewodnią nić kompozycyi.

Obszerne fragmenty *Jan z Kępy* i *Giermek* należą do poezyi legendowo-mistycznej. Niejasne w układzie, będące zestawieniem odłamów, prowadzone w szerokim toku epicznym, posiadają one jednak kawałki malownicze i pełne głębokiego uczucia.

Ułamki z poematu *Samobójca* (o ile znamy je z wydania warszawskiego z r. 1846) są także zbiorem luźnych ustępów, których związek całkiem zagadkowy. To pewna jednak, że poeta w duchu romantycznej uczuciowości przy końcu wypowiedział tu coś w rodzaju obrony samobójstwa, z czego się w późniejszym (toruńskiem) wydaniu poematu starał usprawiedliwić w duchu ortodoksyjnym. Powieść poetyczna *Koń Beduina* jest już całością skończoną, posiada dużo życia, kolorytu i rycerskiej brawury, właściwej rycerzom arabskim, ale stanowi parafrazę zużytych w poezyi wschodniej motywów.

Do najsłabszych utworów Zielińskiego należy *Czarnoksiężnik Twardowski* — dwa ustępy z dramatu, osnutego na tle podań gminnych, właściwie dwie końcowe sceny fantastycznego misteryum, w których autor nie podniósł legendy o polskim *Fauście* do żadnej głębszej myślowej wartości. Pomysły fantastyczne splatają się tu z rubasznymi, Twardowski występuje jako zwykły, niespokojny awanturnik, uwodziciel i hulaka, pragnący użyć świata z pomocą szatana; morałem zaś poematu — katechizmowa czołobitność rozumu i wiara.

Z pomiędzy drobniejszych poezyi lirycznych niektóre zyskały sobie zasłużoną popularność, jak np. ładny mazurek *Niemogę być twoją*, fragment *Sztuki piękne*, a *Pożegnanie* jest rzewnym wylewem serca tęskniącego za strawną kochanką.

Jak widzimy, niewielką pod względem ilościowym spuściznę zostawił po sobie zmarły poeta. Główny jej klejnot należy do przebrzmiałego już dzisiaj okresu poetycznej twórczości, jednakże posiada niewątpliwie tyle promieni, że świecić będzie zawsze jasnym blaskiem w naszym romantycznym gwiazdozbiorze.

Autor jego zresztą należał do ludzi oddanych praktycznym zadaniom życia i tylko zrzadka trącał w struny poetycznej liry. Urodzony w r. 1809 w Markowicach, w powiecie inowracławskim w W. K. Poznańskiem, kończył szkoły w Toruniu, odbył studya uniwersyteckie w Warszawie, które ukończył w r. 1830. Zagnany burzą wypadków na daleki Wschód, powróciwszy do kraju, odziedziczył dobra Skępe w guberni płockiej, prowadząc w nich czynny żywot ziemianina i w dniu 23 listopada, mając lat 72, zasnął snem wieczystym.

Na mogile jego stanął *Kirgiz* w wieńcem nieśmiertelników.

*K.*

# ODCZYTY PUBLICZNE.

**Pionierowie gotycyzmu**, dwa wykłady publiczne prof. Łuszczkiewicza.

Polska, przyjąwszy religię rzymsko-katolicką, związała swe dzieje z zachodnią cywilizacyą, z niej czerpała swe wzory i wskazówki zarówno w ustroju państwowym, jako też w rozwoju nauki i sztuki. Przerwany wątek cywilizacyi słowiańskiej mógł działać tylko modyfikacyjnie na napływową cywilizacyę, którą niosła z sobą kultura zachodnia. Gdy nam tedy przychodzi mówić o sztuce i stylach w Polsce, musimy się oglądać na Zachód i tam szukać klucza do rozwiązania zagadnień. Prof. Łuszczkiewicz, znany badacz sztuki, wygłaszając dwa odczyty o *pionierach gotycyzmu*, musiał z konieczności zwrócić się do początków tej sztuki na zachodzie a idąc w ślad za najnowszemi badaniami w tym kierunku, uznał donośny wpływ syryjskiego budownictwa na europejskie, podczas wypraw krzyżowych. Rozpatrując pomniki architektury w Europie, spostrzedz łatwo, że północna Francya a mianowicie Burgundya może wykazać pierwsze zaczątki gotycyzmu w swych klasztornych budowlach, należących do Cysterów. Zasłużony ten zakon niósł w średnich wiekach na daleki wschód nietylko doskonalszą uprawę ziemi i przemysł, ale zarazem nowe zasady budownictwa. Nieustanne, nakazane regułą zakonną stosunki i zależność klasztorów cysterskich sprawiły, że każda zmiana, każde ulepszenie odbijało się we wszystkich tego charakteru klasztorach. Czas rozkwitu i powodzenia Cysterów przypada właśnie na chwilę przekształcenia się stylu romańskiego w gotycki: takie też znamię noszą na sobie zabytki architektoniczne, spotykane w Jędrzejowie, Wąchocku, Sulejowie, Mogile i Koprzywnicy. Prelegent zbadawszy je na gruncie, dał w swym odczycie wyczerpujący i ściśle naukowy obraz ich konstrukcyi i ornamentyki. Następnie przedstawiając dalsze zabytki gotycyzmu stanowczo się oświadczył przeciwko zdaniu Essenweina, Łepkowskiego i innych, jakoby gotycyzm ceglany był naśladownictwem krzyżackich budowli, wykazał na konstrukcyi sklepień i w przerzucaniu żeber wybitną różnicę i zawnioskował, że zachodnie style zmodyfikowaliśmy znacznie, tak iż służy nam prawo posiadania stylu gotyckiego odcienia polskiego. O ile nam wiadomo, po raz pierwszy spotykamy się z takiem zapatrywaniem. Nazwisko prelegenta poręcza nam prawdziwość tego przypuszczenia.

Ogólny ton odczytów był za wysoki i nie odpowiadał warunkom popularnego wykładu. P. Ł. mówił n. p. o gurtach, żebrach, zwornikach, szkarpach i t. p. technicznych określeniach architektonicznych wobec słuchaczów a zwłaszcza słuchaczek, dla których słowa te są bez znaczenia. Następnie dawało się czuć przeładowanie erudycyjne i wnikanie w drobne szczegóły, które dla obeznanych z przedmiotem mogło być nawet interesujące, dla ogółu pozostało jeśli nie niezrozumiałem, to nudnem. Gorąca odezwa profesora, byśmy szczerze wzięli się do pracy nad historyą cywilizacyi w Polsce, by żadne pole wiedzy nie stało ugorem, lecz znalazło godnych pracowników — wywołała żywe oklaski nielicznie zgromadzonej publiczności.

*A. G.*

# LIBERUM VETO.

Komisya obradująca nad wynalezieniem dobroczynnego Nilu. — Jej program i mój dodatek na korzyść podrzutków. — Zdziwiony dr. Ł. poszukujący chorób zaraźliwych w Warszawie. — Prawdopodobna przyczyna tego zdziwienia. — Gdzie można je zaspokoić. — Co lepsze. — Zawstydzony stolarz, który uratował życie córce bankierskiej.— Sposób naprawy złego w anegdocie. — Arystokracya w ostatnich rzędach krzeseł. — Potrzeba podzielenia apostrofy między dół i górę teatru. — Usprawiedliwienie się przed *Gaz. Polską*. — Słowa na wiatr i przyzwoita dyskusya.

Mądrzy polacy po szkodzie, *nota bene* z rozporządzenia władzy wyższej, zakładają przy magistracie tutejszym osobną komisyę, która obradować ma nad wynalezieniem źródeł tego Nilu, który wylewając corocznie 2.000 rs., użyźniałby pole działania Rady Dobroczynności publicznej. Chodzi mianowicie: 1) o zwiększenie liczby łóżek w miejscowych szpitalach ogólnych; 2) o wybudowanie zakładu dla idyotów, kalek i nieuleczalnych; 3) o urządzenie osobnego szpitala dla dzieci chorych na słabości zakaźne; 4) o zakładanie domów położniczych; 5) o zwiększenie ilościowe żywności dla chorych w szpitalach i o podwyższenie uposażenia dla personelu lekarskiego i administracyjnego w zakładach dobroczynnych, wreszcie 6)... 6) nie ma, ale ja pozwalam sobie tę pozycyę dopisać: komisya winna pomyśleć także o ratowaniu od głodowej śmierci podrzutków u Dzieciątka Jezus, gdzie biedne niemowlęta dostają $^1/_4$ mamki i $^1/_4$ kwarty mleka dziennie. Zacnej pamięci ks. Baudouin nie dałby grosza, gdyby był wiedział, że na podstawie jego ochrony dla niemowląt potomność wzniesie przybytek głodowych nad niemi doświadczeń, dokonywanych przytem w zakażonej atmosferze wyziewów szpitalnych. W imieniu jego upraszam komisyę, ażeby dopisany przeze mnie punkt szósty wzięła także pod uwagę.

Na czele jej stanął troskliwy o dobro miasta prezydent, a do składu ze strony Towarzystwa Lekarskiego wszedł prof. Baranowski — mamy więc już w tem gronie dwu ludzi, na których dobrą nadzieję oprzeć możemy. I dr. Ł. zapewnie się ucieszy, bo założenie szpitala dla dzieci w chorobach zakaźnych uwolni go wreszcie od dręczącej wątpliwości co do istnienia w Warszawie ospy, szkarlatyny, błonicy i t. p. epidemii. „Zdziwiony niepomału — powiada on w *Kuryerze Warszawskim* — że *nie zdarza mi się* spotkać chorych na wspomniane słabości, zapytywałem kolegów, ażali w samej rzeczy choroby te grasują i w których mianowicie częściach miasta się kryją? Zdziwienie moje było tem większe, otrzymawszy odpowiedź (czyt. gdym otrzymał odpowiedź), że i *oni* nie widzą ofiar tych epidemij.“ Zwrócił się z kolei do aptekarzów, ale i ci go uspokoili; wtedy dr. Ł. wyraził swoje zdumienie w *Kuryerze Warszawskim*, opatrzywszy je wnioskiem, że „wydaje mu się rzeczą niesłuszną, nieludzką i wprost szkodliwą straszyć ludność widmem klęski, której wcale nie ma.“ Ponieważ w tymże samym numerze *Kuryera Warszawskiego*, niedaleko od swego listu, dr. Ł. wyczytał „powtórzony i obostrzony nakaz zbierania od lekarzy wiadomości o osobach, które zapadły na choroby epidemiczne: ospę, szkarlatynę, błonicę i tyfus;“ ponieważ wykazano, że w ciągu trzech dni przyległych do daty owego listu zachorowało na ospę 29 osób, na szkarlatynę 15, na błonicę 9; i ponieważ dłużej trwające „zdziwienie“ d-ra Ł. mogłoby się okazać równie dla niego szkodliwem, jak fałszywy postrach dla publiczności, przeto postaram się je hypotetycznie wyjaśnić. Owo „zdziwienie“ pochodzi prawdopodobnie stąd, że dr. Ł. nie ma praktyki, jego koledzy również, znajomi aptekarze zaś nie wiedzą, przeciw jakim chorobom lekarstwa wydają. Wobec niewątpliwych i nader licznych wypadków, których liczbę policya raczej zniża niż przesadza, trudno przypuścić, ażeby lekarzowi posiadającemu praktykę, „*nie zdarzyło się spotkać* chorych na wspomniane słabości.“ Jeżeli dr. Ł. chce przestać się „dziwić,“ niech nie bada ani siebie, ani swoich kolegów, ani aptekarzów, ale niech zapyta albo lekarzy kurujących ludność biedną, albo tych olbrzymów medycyny i zbawców, do których zrozpaczony ogół ucieka się o ratunek, albo wreszcie... zarządcę Powązek, do którego mogę mu dać polecający bilet. Co zaś do skutków fałszywego alarmu, wolimy chorować od przestrachu, niż umierać na szkarlatynę i błonicę. Niech dr. Ł. postara się o praktykę lub... dzieci, a zrozumie nasz gust i przestanie pisywać „zdziwione“ listy do *Kuryera*.

Tymczasem pozwalamy d-rowi Ł. oskarżyć nas o taką samą niewdzięczność, jakiej dopuścił się pewien bankier, którego córce odważny przechodzień uratował życie, powstrzymawszy rozhukane konie. Nazajutrz po katastrofie bohater poszedł dowiedzieć się o zdrowie uratowanej. P. bankier wszakże nie chciał z nim mówić, dowiedziawszy się, że zbawca jego córki jest... stolarzem. Gdyby nie różnica w niebezpieczeństwie, mógłby ten ostatni użyć środka, wskazanego w następującej anegdocie. Nad rynsztokiem, zalanym wodą po deszczu, stała sobie staruszka i rozmyślała nad sposobem przebrnięcia potoku. Spostrzega to grzeczny młodzian, chwyta ją i przenosi na drugą stronę.

— Jak pan śmiałeś dotknąć się kobiety? — pyta obrażona tą zuchwałością.

Młodzieniec nic nie rzekłszy, porwał szybko babinę i przeniósł z powrotem na dawne miejsce. Idąc za tym przykładem, zawstydzony stolarz powinienby pobudzić konie i wtrącić córkę bankierską w takież same niebezpieczeństwo, z jakiego ją wyratował. Szkoda tylko, że wypasione rumaki to nie zalany rynsztok, ale zato owa córka bankierska podobna do zagniewanej babki...

Gdzie bankierzy usiądą w teatrze na przedstawieniach Sary Bernard, jeżeli arystokraci zajęli ostatnie krzesła? Na więzieniu lubelskiem czytałem napis: „nie miejsce, lecz zbrodnia hańbi człowieka.“ Nasi też panowie sądzą zapewnie, że w ostatnich rzędach krzeseł nie ubliżą swej godności. Widząc manifestacyę, chcielibyśmy znać przyczyny, dla ocenienia jej wartości. Bo może to tylko prosta oryginalność, pod której natchnieniem arystokraci nasi przychodzą na maskarady w wytartych frakach dlatego, że pospólstwo wkłada świeże?

Ażeby podczas przedstawień Sary Bernard nie powtórzyła się walka krzeseł z paradyzem, który dostał ostrą naganę w pismach za nieprzyzwoite wysykanie Żółkowskiego, radzę parterowi wziąść także do serca tę przestrogę. Doprawdy nie ma on zbyt wielkiego prawa rzucać na górę teatru kamieniem, bo tyleż co i ona grzeszy swemi spuchłemi od oklasków rękami. Śmietanka z ostatnich rzędów powinnaby skorzystać ze sposobności i dać dobry przykład taktownego zachowania się publiczności. Bo gdy czasem zleje się grad oklasków bez powodu, sykałbym sam na paradyzie, nie dla ubliżenia Żółkowskiemu, ale dla uciszenia dzikiego hałasu, który przerywa bieg sztuki i... bębenki uszne.

Pozostaje mi jeszcze stanąć, zrobić front i salutować przed *Gazetą Polską*. Wysłuchałem pokornie jej skarcenia, ale ponieważ nawet junkrowi wolno się usprawiedliwić przed majorem, więc i ja się uniewinniam. Zarzuciłem *Gazecie Polskiej*, że naprzód obroniła Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i oskarżyła o „lekkomyślność“ pisma krytykujące jego kodyfikacyę ustaw,

a potem w duchu tej „lekkomyślności“ wystąpiła przeciw niemu. Pozwoliłem sobie przytem domysłu, do którego mnie upoważniła jej wzmianka o „poufnie“ odebranych wiadomościach, że pierwszy artykuł był natchnięty przez Towarzystwo. Odpierając ten zarzut, *Gazeta* powiada: „Nie wahamy się nigdy w sprawach, o których na podstawie jednostronnych, a często *stronnych* informacyj pisać możemy, po *bliższem* i *dokładniejszem* rozpatrzeniu się, zdanie nasze nietylko zmodyfikować, ale nawet zmienić. *Tak było w obecnym wypadku!*“ Cudownie, a cóż innego my twierdziliśmy, że *Gazeta* w zakończeniu swej apostrofy nazywa nasz zarzut „słowem rzuconem na wiatr, które w przygwoitej dyskusyi nie uchodzi i prawa do otrzymania odpowiedzi rościć nie może.“ Za pozwoleniem szan. instruktorki, posądzenie kogoś o „zbytnią pohopność i lekkomyślność“ za to, co się później powtarza i oskarżenia nie cofa, to jest „rzucanie słowa na wiatr, które w przyzwoitej dyskusyi nie uchodzi.“ *Gazeta* sprostowała swoje mniemanie o Towarzystwie Kredytowem, ale nie sprostowała go o nas i dla tego mieliśmy zupełne prawo do otrzymania odpowiedzi. Że szan. organ sam się od niej uwolnił — no, to jest tylko wynikiem jego pojmowania „przyzwoitej dyskusyi.“

*Poseł Prawdy.*

---

# W PERSPEKTYWIE.

---

„Dzieciarnia“ na pamiątkę zgody dworu z włościanami. — Proces proboszcza nasielskiego z parafianami. — Zdanie o nim św. Pawła. — List Kowala w sprawie prowincyonalnych robotników fabrycznych. — Dzieło sztuki robotników czernihowskich. — Gdzie pieniądze.

Zagniewani na nas posiadacze własności większej, zapiszcie sobie w kalendarzu pod dniem dzisiejszym następujący czyn, który bardzo się podoba *Prawdzie*, pomimo że ozdobił obywatelstwo jednego z waszych braci. Po odbytem polowaniu — jak opowiada *Korespondent Płocki* — a jak my wolelibyśmy — całkiem niezależnie od polowania i jego patrona, św. Humberta, lecz poprostu na pamiątkę zgody dworu z chatami o rozdział służebności, p. B. Nakwaski z Nakwasina podarował włościanom 100 prętów ogrodu i drzewo z lasu swego na założenie „Dzieciarni“. Ma to być budynek, w którym wieśniaczki, udające się na robotę w pole, będą pozostawiały dzieci pod opieką wybranej kobiety. Kto wie, ile niemowląt wiejskich, pozostawionych bez dozoru, niszczy ogień, woda, świnie lub bydło, ten zrozumie użyteczność podobnego domu. To też p. Nakwaski postąpił uczciwie, rozumnie i ma prawo pochwalić się, że mu włościanie coś winni.

Nie wszakże nie winni proboszczowi z Nasielska, który świeżo spór ze swymi parafianami załatwił w sądzie okręgowym łomżyńskim (w Pułtusku). Przed kilku laty podobało się pasterzowi samowolnie wynieść z miejscowego kościoła do Pułtuska kosztowny obraz i inne sprzęty. Zbuntowane owieczki oparły się temu, zatrzymały paki, a gdy je podrażniono, ustąpiły dopiero przed powagą delegata z biura jeneral-gubernatora. To powiodło ośmnastu parafian Nasielska na ławę oskarżonych, z której sąd, jak należało, zupełnie ich uwolnił. Z wyrokiem tym zgodził się naczelnik powiatu (jako strona skarżąca), a nawet prokurator, tylko pewnie proboszcz nasielski został z niego niezadowolonym. I znowu wraz z nim otwórzmy listy św. Pawła, a wyczytamy:

„Ażaż nie wiecie, że trocha kwasu wszystko naczynie zakwasza? Wyczyśćcież tedy stary kwas, abyście byli nowem naczyniem... Proszę was tedy ja, więzień w Panu, abyście chodzili tak, jak przystoi na powołanie, którem jesteście powołani“. Tak trzeba robić księże proboszczu.

Z pewnej okolicy fabrycznej odbieramy od naszego abonenta następującą obronę maluczkich, którą podpisujemy w całości.

„Nie chciałbym wytykać — powiada korespondent — że Warszawa złą postępuje drogą, lecz dziwnie wygląda jej silne zajęcie się tylko warszawskimi rzemieślnikami i robotnikami wobec obojętnego pominięcia prowincyonalnych. A przecież i oni zasługują na to, ażeby ich osłonić opiekuńczem skrzydłem opinii publicznej. Ograniczam się na teraz jedną ich garstką, naprzód dla tego, że przez swe skupienie w pewnych, więcej przemysłowych i fabrycznych ogniskach kraju, przedstawiają możność zastosowania w tym względzie więcej ogólnych środków; powtóre, że zwykle posiadają już pewne swe własne instytucye, przez które tem łatwiej na nich oddziałać by można. Szeroko około tego chodził, przemyśliwał, radził i pisał onego czasu sejmik górników w Piotrkowie, który błysnął jak meteor lub jak.. lusterko w rękach psotnika... Jeszcze prędzej niż zabrzmiały, ucichły jego głosy i mam silne przekonanie, że z tej strony Armada nie nadpłynie. Trzeba więc samym myśleć o sobie a w tem przedsiewzięciu niech nas poprze doświadczenie przemysłowej Anglii, w której *prywatna inicyatywa* najwięcej zrobiła dla swych robotników i olbrzymiego swego przemysłu.

Wiadomo niejednemu, że prawie wszystkie większe, prywatne, rządowe i porządowe fabryki — szczególnie cukrownie, górnicze i hutnicze zakłady — mają urządzone t. z. *kasy bratnie*, których celem jest zapewnienie uczestnikom oraz ich rodzinom opieki i pomocy lekarskiej. Fundusz takiej kasy powstaje z potrąceń od zarobków dziennych (zwykle 1 grosz od złotego lub 3 kop. od rubla) i z kar pieniężnych. Fundusz ten zwykle utrzymuje felczera, lekarza, akuszerkę i zakupuje potrzebne lekarstwa. Wskutek rozdrobnienia zakładów po wyjściu ich z rąk rządu i Banku Polskiego, a zwłaszcza wskutek nieumiejętnej administracyi, wyzysku aptekarzy, pozostających bez żadnej poważnej kontroli, niegodnego szafunku na kosztowne wina dla wyższych urzędników — kapitały „kasy bratniej“ obecnie prawie nie wystarczają na utrzymanie oddzielnej służby zdrowia. Ponieważ przemysł uważa robotnika za maszynę, zalecono w Warszawie właścicielom fabryk dbać o zdrowie swych sił roboczych. Poskutkowało to wszakże tylko na Warszawę. U nas wszystko pozostało podawnemu, a nawet dzieje się naodwrót. Dla posilenia „kasy bratniej“ nieprawnie i samowolnie dołączono fundusz innej instytucyi robotniczej, mianowicie zasoby t. z. *krankszychty*, powstałej z potrąceń całkowitego zarobku dziennego każdego robotnika raz na kwartał. Fundusz ten służył zawsze tylko na płacenie pewnych kwot chorym robotnikom z decyzyi ich przedstawiciela. Dla tego też w kasach prowadzono osobny zupełnie rachunek z krankszychty, czego potwierdzenie znaleść można w księgach kasowych, jak również w akcie urzędowym Banku Polskiego, który pozwalam sobie przytoczyć, choć odnosi się tylko do jednego z zakładów, będącego poprzednio własnością Banku.

„Bank Polski do Wójta Gminy *N. N.* W przychyleniu się do słusznego żądania Administracyi dóbr i fabryk N. N., Bank Polski postanowił wydać nowonabywcom pomienionych dóbr i fabryk fundusz tytułem krankszychty, jaki przy fabryce w zakładzie N. w epoce administracyi bankowej z potrąceń od zarobku robotników uzbierany został, wynoszący ogólną sumę rs. 331 i kop. $99^{3}/_{4}$, a to z uwagi, że nowonabywcy zobowiązali się nadal, jak to dotąd miało miejsce, mieć stosowną opiekę nad chorymi robotnikami, takowym właściwą pomoc lekarską i odpowiednie zasiłki pieniężne w czasie choroby udzielać; powyższą przeto decyzyę Banku Polskiego zechce Wójt Gminy robotnikom zakładu N. protokólarnie objawić i następnie protokół w tej mierze spisany Bankowi nadesłać.“

Gdyby więc ten fundusz stanowił całość z funduszem bratnim, nie zostałby uzbierany oddzielnie, a powtóre widocznie jest dostateczny i wystarczający na swe potrzeby, kiedy może spoczywać jako depozyt w kasie. W każdym razie jest to czysta oszczędność, złożona przez robotników, która innego przeznaczenia mieć nie może i jako prywatny kapitał stowarzyszonych robotników, z którego oni sami tylko czerpać powinni, winien pozostawać w ich rozporządzeniu. Fundusz ten, w przywiedzionym wypadku nieznaczny, dochodził w okręgu wschodnim przed rozprzedażą pojedyńczych zakładów do sumy kilkunastu tysięcy... Aby znów nie przepadły te drobne i w pocie czoła uzbierane oszczędności, któreby obecnie mogły posłużyć do założenia kas oszczędności lub emerytalnych, zwłaszcza zaś, aby nie zginęły przy przechodzeniu z rąk do rąk całych zakładów i ich części, pozwalam sobie wnieść pokorną prośbę do wszystkich fabryk o jawne i publiczne w pismach naszych, obszerne sprawozdania z obrotu tych drobnych oszczędności, *które przecież nie są ich własnością.*

Miło nam tu zaznaczyć, że w jednej z fabryk żelaza, jak nam donoszą, z decyzyi zarządzającego pana Waw. ma być ów fundusz samym robotnikom oddany pod klucz, a zarazem posłużyć do założenia kasy pożyczkowej.“ *Kowal.*

No, panowie fabrykanci, warto pomyśleć o uporządkowaniu tej sprawy.

Wypada mi tu dopisać małą uwagę. Korespondent skarży się, że Warszawa dba tylko o swój lud robotniczy. Objaw bardzo prosty — bo na niego zbliska patrzy. Myśleć i pisać o dalszych kołach możemy wtedy jedynie, gdy nam kto, jak Kowal, ich potrzeby ujawni. I dlatego radzibyśmy, ażeby inteligencya prowincyonalna nie pozostawiała prasy w niewiadomości spraw swego otoczenia, lecz wzorem naszego korespondenta uwiadamiała o nich ogół.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* wspomnieliśmy o zamiarze sprowadzenia z Prus i Rosyi 11.000 robotników do kolei Dęblińsko-Dąbrowskiej. Zamiar ten *Gazeta Rolnicza* oświetla następującem zdarzeniem, za którego wiarogodność poręcza. W pewnem mieście gubernialnem postanowiono wykopać, a raczej odświeżyć staw, który był zaszlamiony i chwastem zarosły. Wyznaczono na ten cel z funduszów miejskich 30,000 rs. Ale gubernator i inżenier z powołania polecili, ażeby do tej roboty użyto koniecznie ludzi z guberni innej, jako jedynie do tego przydatnych. Miasto wzięło na siebie dodatkowy koszt sprowadzenia owych geniuszów. Roboty miano rozpocząć z wiosną, aby już w lecie korzystać z ozdobnego stawu. Wiosna była w tym roku u nas wczesna i ciepła, ale widać spóźniła się gdzieindziej, bo robotnicy przybyli dopiero w końcu maja. Z powodu suszy wiosennej, bagnisko na miejscu stawu wyschło. Robotnicy skarżyli się, że to im utrudnia pracę, bo ziemia stwardniała. Nastały deszcze i ciągnęły się przez całe lato, a to znów opóźniało robotę. „Dopiero na jesieni stanął pyszny staw, arcydzieło roboty. Ale te zwłoki powiększyły koszta roboty o 24,000 rubli. Minęła zima, lody puściły, i z niemi razem popłynęła woda ze stawu... Na miejscu pysznego stawu okazało się bagnisko. A gdzie 54,000 rubli?“

Naturalnie także popłynęły z wodą.

*Asan.*

---

## PAPIEŻ W FULDZIE.

Mimo zaprzeczeń, obiega ciągle pogłoska, że papież zwrócił się do rządu niemieckiego z prośbą o pozwolenie mu zamieszkania w Fuldzie i że otrzymał zgodę ks. Bismarka. Gazety wytrzeszczyły oczy! Jakto, kanclerz niemiecki sprowadził sobie do domu największego wroga, z którym tyle lat *kulturkampf* wiedzie i który go tyle nocy bezsennych kosztował? Nie jest to możliwość tak dziwna, jak by się na pozór zdawało. Świadczy o tem w swych pamiętnikach powiernik Bismarka, znany z wielu wyciągów czytelnikom pism polskich — p. Busch.

Było to — opowiada on — w Wersalu, 9 listopada 1870, wkrótce po wejściu włochów do Rzymu. Wieczorem, przy herbacie, w gronie otaczającem Bismarka poruszono kwestyę schronienia papieskiego. Wtedy Hatzfeld spytał:

— Czy ekscelencya czytałeś, że włosi wtargnęli do Kwirinalu?

— Wiem — odrzekł Bismark — i ciekawy jestem, co zrobi papież. Odjedzie? Ale dokąd? Prosił nas, ażebyśmy zapytali Włochy, czy mu pozwolą wyjechać z należną godnością? Odpowiedziały nam, że uszanują jego stanowisko i zastosują się do niego, jeżeli zechce koniecznie wyjechać.

— Ale włosi go nie puszczą — wtrącił Hatzfeld — im na tem zależy, ażeby pozostał w Rzymie.

— Zapewnie — rzekł Bismark — ale może będzie musiał wyjechać. Dokąd? Do Francyi nie — tam jest Garibaldi, do Austryi także nie, do Hiszpanii? Proponowałem mu Bawaryę.

Zamilkł na chwilę a potem ciągnął dalej.

— Pozostaje mu tylko Belgia lub... Niemcy północne. *Już pytano, czy byśmy mu dali schronienie.* Nic nie mam przeciwko temu—Kolonia lub Fulda. Byłby to obrót niezwykły, dość wszakże jasny a dla nas bardzo pożyteczny, gdybyśmy katolikom okazali się tem, czem rzeczywiście jesteśmy: jedynem obecnie mocarstwem, które głowie ich kościoła może i chce dać przytułek... Wtedy ultramontanie straciliby wszelki pozór do opozycyi. Zresztą ludzie z bujną wyobraźnią, zwłaszcza kobiety, mogą w Rzymie na widok pompy, kadzideł katolicyzmu i błogosławiącego papieża na tronie uczuwać skłonność do przyjęcia religii katolickiej. Ale w Niemczech, gdyby miano papieża przed oczami jako wzywającego pomocy starca, jako sędziwego poczciwca, jako jednego z biskupów, — nie byłoby żadnego niebezpieczeństwa. A wreszcie, gdyby nawet gromadka ludzi przeszła na katolicyzm — ja nie przejdę — to i wtedy niewielkie byłoby strapienie. Wyznania nic nie znaczą, tylko wiara. Trzeba myśleć tolerancyjnie.

Bismark rozwijał dalej te myśli, ale już w sposób mu właściwy, to jest nienadający się do publicznego użytku.

Od tej chwili upłynęło lat 11. Kto wie, czy kanclerz nie uważa i dziś jeszcze „za pożyteczne" sprowadzić papieża do kraju, zwłaszcza, że z ultramontanami nie może sobie dać rady; kto wie, czy z jego pomocą nie zakończyłby pomyślnie *kulturkampfu*. Z Fuldy środek parlamentu (centrum) i poznańczycy łatwiej i prędzej mogliby się dowiadywać, jak mają głosować w sprawie monopolu tytoniowego, podatków pośrednich i t. p.

A więc... przygotujmy się na jedną z wielkich niespodzianek, które Bismark lubi sprawiać Europie. Może papież osiądzie niedługo w Fuldzie, jeżeli nie dojrzy zgubnych następstw tego kroku. Połowa bowiem blasku Stolicy Apostolskiej pada na nią od Rzymu, który dla świata katolickiego stał się równoznacznikiem papiestwa.

*L.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 1 grudnia.*

Przemówił—i jak przemówił ks. Bismark w sejmie niemieckim! Nigdy podobno minister tak nie traktował ciała prawodawczego. Gniew, zuchwałość, szyderstwa splatały się w jego ustach ze wzgardą. Odpowiadając na zarzut, że czuje się skrzywdzonym, rzekł: „Nigdy w życiu mojem nie rościłem pretensyi do wdzięczności, nigdy na nią nie zasłużyłem; nigdy bowiem nie działałem dla otrzymania podziękowań, lecz spełniałem moją powinność — nic więcej; kto zaś wypełnia obowiązek, jest wiernym parobkiem (Knecht), ale niema pretensyi do wdzięczności. Od wszystkiego tego jestem bardzo dalekim, nauczyłem się żyć bez wdzięczności świata — straciłem ją, znowu odzyskałem, znowu straciłem i znowu odzyskałem — i nic sobie z tego nie robię... Czytałem w gazetach zarzut, że mnie obsypano zaszczytami i dobrami, że mi wzniesiono pomniki. Godność moja spoczywa w moich jedynie rękach... i nikt nie może rozstrzygać czy ją posiadam... Sam sobie daję tyle, na ile, jak mniemam, zasłużyłem, dodatków zaś się zrzekam. Co się zaś tyczy posągów, to wyznać muszę, że na ten rodzaj wdzięczności nie bardzo jestem czuły. Byłbym w wielkim kłopocie, gdybym np. znalazł się w Kolonii, bo z jakąż miną przechodziłbym około własnej statuy itd." W tym rubasznym i ostrym tonie zabierał kanclerz głos dwukrotnie dla przeważenia szali w sprawie wcielenia Hamburga do niemieckiego obwodu celnego.

Na innem miejscu poświęcamy słów kilka wieści o przeniesieniu Stolicy Apostolskiej z Rzymu do Fuldy. Dzienniki klerykalne, przecząc tej pogłosce, uśmiechają się wdzięcznie i dają do zrozumienia, że w niej jest kropelka prawdy. A jaki humor, jaka wesołość w tym obozie! Nie przeczymy, że papież dla wywarcia nacisku na Włochy puścił myśl tę w dziennikarski obieg; sądzimy jednak, że gdyby mu pozwolono ją urzeczywistnić, cofnąłby się bojaźliwie. Jaki zaś związek mieć może przeniesienie kuryi z nadzieją przywrócenia świeckiej władzy papieża, o której gazety również bąkają, i jakim sposobem do tego przedsięwzięcia pomogłaby Fulda—pojąć nie możemy.

W austryackiej Radzie Państwa, skutkiem nowych ugrupowań, interpelacyj i klubów, powstał zamęt, z którego wyłonią się stosunki tego ciała pod zmienioną postacią. Lewica się zjednoczyła, prawica rozszczepiła, sprawa starć czesko-niemieckich oderwała czechów, a sprawa *Länderbanku* polaków od autonomistów. Co z tego kotłowania się żywiołów wyniknie, trudno przewidzieć. To tylko pewna, że ultramontanie zdradzili tego roku polaków w obu parlamentach — niemieckim i austryackim. Wróżby nasze zaczynają się sprawdzać wcześniej, niż mniemaliśmy. Oby z tych doświadczeń wyciągnęły naukę oba Koła polskie.

Doniesienie urzędowe z Petersburga tak opisuje szczegóły nowego awanturniczego zamachu. „W dniu 13 listopada, około drugiej z południa, u wejścia do departamentu policyi państwa zjawił się młody człowiek z listem, adresowanym do towarzysza ministra spraw wewnętrznych Czerewina. List zawierał prośbę o niezwłoczne przyjęcie owego przez jenerała, który znajdował się podówczas na posiedzeniu komisyi radzącej o zesłanych drogą administracyjną: oddawca bowiem przychodzi w ważnej sprawie. Jenerał polecił wprowadzić gościa do gabinetu. Zaledwie jednak zapytał go, jaki ma ważny interes, gdy nieznajomy wyjął z kieszeni rewolwer i dał ognia. Strzał nie przyniósł na szczęście krzywdy jen. Czerewinowi, który natychmiast sam rozbroił przestępcę i polecił go aresztować. Na wstępnem badaniu wyznał zatrzymany, że jest stanu szlacheckiego, z gubernii grodzieńskiej, że zowie się Mikołaj Sankowskij i że przybył do Pesersburga kilka dni temu z Morszańska wraz z mieszczaninem Mielnikowem, który znajdował się pod dozorem policyjnym jako sądzony poprzednio za kradzież. Z zeznań Sankowskiego należało wnosić, że Mielnikow wiedział o zamierzonem przestępstwie i że list na imię jenerała Czerewina przez tegoż Mielnikowa był napisany.

Skutkiem tego zarządzono poszukiwania osoby Mielnikowa i ubiegłej nocy go przytrzymano."

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** Emigracya amerykanów do Europy dosięgła w r. b. niezwykłych rozmiarów; przeszło 100.000 porzuciło swą ojczyznę i przybyło do starego świata. Wszyscy oni przywieźli z sobą znaczne kapitały. Dyrektor giełdy amerykańskiej w Londynie obliczył, że przeciętnie każdy z nich posiadał od 4,000 do 5,000 f. sterl., co ogółem stanowi sumę 500 milionów dolarów.

— Komisya wzmocnionej obrony państwowej przy ministerium spraw wewnętrznych przejrzała przeszło trzysta decyzyj władz administracyjnych i uznała, że dawniej zesłani administracyjnie zasługują na ulgi.

— W Charkowie rozpatrywaną jest sprawa polityczna mieszczanina Gurmażenki i cechowego Gołowki. Pierwszy z nich oskarżonym jest o to, że należąc do partyi socyalno-rewolucyjnej i pragnąc utworzyć w mieście Ledebin (gub. charkowska) kółko socyalistów, starał się werbować na członków młodych ludzi, którym tłómaczył dążności stowarzyszenia i rozdawał im pisma zakazane. Gołowko zaś znajduje się pod zarzutem rozszerzania książek zakazanych.

— Oberpolicmajster warszawski wydał rozkaz komisarzom cyrkułów, aby ci osobiście przekonali się, czy terminatorowie w warsztatach otrzymują dostateczną ilość dobrego pożywienia; czy posiadają ciepłą odzież; czy nie są przeciążani robotą, oraz czy posyłani są do szkoły rzemieślniczej. Prócz tego w rozkazie zwrócono uwagę na warunki zdrowotne mieszkań terminatorów, oraz na to, czy w warsztatach lub fabrykach niema wyziewów szkodliwych i powietrza zepsutego, mogącego wywrzeć wpływ szkodliwy na zdrowie nieletnich uczniów.

— Koncert na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego powiódł się nieszczególnie.

— Nowe rozporządzenie rządowe oswabadza od cenzury wszystkie gazety urzędowe gubenialne i okręgowe. Pomieszczać one mają w dziale urzędowym rozporządzenia władzy, ogłoszenia i wezwania.

— Policya w Petersburgu zbiera pilnie dane o fabrykach, warsztatach rzemieślniczych i t. p. z uwzględnieniem płacy pobieranej przez robotników, miejsca ich zamieszkania i t. d.

— Koło literacko-artystyczne w Krakowie otrzymało od prezydenta miasta Zagrzebia d-ra Hofmana gorące podziękowanie za przysłanie 500 zlr. uzyskanych z rozprzedaży albumu artystycznego dla ofiar trzęsienia ziemi.

**Nauki.** Ku ujściu Leny wybiera się z Petersburga wyprawa, zorganizowana staraniem Towarzystwa Geograficznego rosyjskiego dla założenia w pomienionej miejscowości stacyi meteorologicznej. Wyprawa zabiera ze sobą około półtorasta pak z przyrządami naukowymi.

— Towarzystwo zdrowia publicznego w Petersburgu zajęło się energicznie zbadaniem przyczyny i sposobów leczenia błonicy (*diphteritis*). Między innemi obszerną rzecz tej treści odczytał tam dr. Zieliński, który proponował zaszczepienie grzybka u zwierząt.

— W Petersburgu na cześć Virchowa odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Towarzystwa Lekarskiego. Znakomitego badacza obrano jednogłośnie na członka honorowego.

— Ogólna wartość wszystkich zbiorów zakładu naukowego rolniczego w Puławach wynosiła już w r.

1879, według urzędowego szacunku, rs. 116.330, nie licząc majątków nieruchomych. Same biblioteki (profesorska i studencka) obejmują dziś łącznie dzieł 9,223 w 14.624 tomach, oszacowanych na 32,862 rs.

— Cmentarzyska pogańskie, bardzo ciekawe, odkryto w osadzie miejskiej Osiecku, w powiecie garwolińskim, po prawej stronie Wisły za wąwozem Bałaban, właściwie o 2 wiorsty od Osiecka, na piaskowym pagórku, w którym po wywianiu piasku przez wiatr, ukazały się wielkie kamienie w czworobok ułożone.

**Szkoły i uniwersytety.** Doktora med. Piotra Seifmana rząd austryacki powołał do założenia i przewodniczenia szkole weterynaryjnej, zawiązującej się obecnie we Lwowie.

— W uniwersytecie warszawskim rozpoczęły się już wykłady języka i literatury czeskiej, na które uczęszcza kilkudziesięciu słuchaczy. Katedrę objął prof. Perwolf dytychczasowy lektor języka cerkiewno-słowiańskiego.

— *Praw. Wiestnik* pomieścił projekt nowej ustawy o poszukiwaniach minerałów na gruntach skarbowych i wezwał zarazem interesowanych i fachowych ludzi do poczynienia nad nim uwag za pośrednictwem prasy lub korespondencyj, nadsyłanych wprost do departamentu górniczego w Petersburgu, celem wprowadzenia odpowiednich poprawek i zmian w ustawie, zanim ona usyska moc obowiązującą.

— Profesor Lesguft, medyk w Petersburgu, opracował ważną rozprawę o umundurowaniu uczniów szkół publicznych. Słynny ten lekarz dowodzi na mocy naukowych danych, że dzisiejsze obcisłe zapinane na 9 guzików mundury uczniów szkół są zabójcze dla ich zdrowia, działają bowiem nader szkodliwie na rozwój klatki piersiowej młodzieży.

**Z Akademii Umiejętności.** W Akademii umiejętności odbyło się dnia 21 b. m. posiedzenie wydziału matem.-przyrodn. Przewodniczący dyrektor L. Teichmann wspomniał o bolesnej stracie, jaką Wydział poniósł przez śmierć swego dobrze zasłużonego członka Jana Kantego Steczkowskiego. Sekretarz prof. Kuczyński zawiadomił, iż tom XV *Sprawozdań Komisyi fizyograficznej* wyszedł w sierpniu b. r. tom zaś VI *Pamiętnika wydziału matemat.-przyrod.* w bieżącym miesiącu wyjdzie z pod prasy, oraz ze druk I tomu dzieła wydawanego nakładem Akademii pod tytułem: *Ptaki krajowe* przez p. Taczanowskiego, tudzież druk XVI tomu *Sprawozdań Komisyi fizyograficznej*, VII *Pamiętnika wydziału matem.-przyrodn.* i IX tom *Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń wydziału matem.-przyrod.* tak dalece się posunął, że wszystkie te cztery tomy z początkiem roku 1882 wyjdą z pod prasy. Potem odczytał on wniosek p. Samuela Dicksteina, poparty przez sekcyę matem.-przyrodniczą Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w r. b., względem wydania monografii naukowej o Janie Broscyuszu i przedruku ważniejszych dzieł tego uczonego męża. Oddano rzecz tę do sprawozdania na najbliższem posiedzeniu prof. Karlińskiemu. Prof. dr. Czyrniański wspomniał o potrzebie zgodzenia się wszystkich chemików polskich na jedno słownictwo chemiczne polskie. Po krótkiej dyskusyi uznano: iż chociaż rzecz ostatecznie tylko na przyszłym zjeździe załatwioną być może, wszakże zachodzi potrzeba prac przygotowawczych w tym względzie; dla tego polecono, ażeby komisya przybrawszy filologa polskiego, zajęła się tą pracą, a na najbliższem posiedzeniu przedstawiła wniosek co do odezwy, wzywającej chemików lwowskich i warszawskich do podobnych prac przygotowawczych. Następnie prof. Kuczyński odczytał treść rozprawy d-ra Olearskiego: *O elektrycznych oscylacyach*. Odesłano ją do komitetu redakcyjnego. Nakoniec prof. Kuczyński przedstawił nadesłane rozprawy, p. Trojanowskiego: *Pogląd na wewnętrzną budowę materyi ciał stałych i płynnych*; p. Eug. Dziewulskiego: *Zagęszczanie optyczne mięszanin wody i alkoholu*; p. Henryka Merczynga: *O własnościach ogniskowych siatek dyfrakcyjnych*; Dra J. Poluja: *Kilka nowych przyrządów elektrycznych*; pp. Edwarda i Władysława Natansonów: *O przyciąganiu się atomów i ruchu ich w cząsteczkach gazów*; i p. Aleksandra Ostrzeniewskiego: *Kilka uwag o myśli, czyli zdaniu ze stanowiska matematyki.* Każdą z tych rozpraw oddano dwom członkom Wydziału do sprawozdania na najbliższem posiedzeniu.

**Przemysł, handel i komunikacye.** Druga linia nowej kolei konnej w Warszawie, idąca z Placu teatralnego przez Nalewki do końca ul. Dzikiej, została już ukończona.

— Cukrownictwo w Cesarstwie w ostatnich latach wzrasta szybko. Ogólna suma jego wytworu dochodzi do 16,000,000 pudów rocznie. Wskutek nowych przepisów co do podatku spożywczego od cukru, ministeryum finansów spodziewa się w roku przyszłym otrzymać z tego źródła rs. 7,800,000 dochodu tj. o 3,800,000 więcej niż w r. bieżącym.

— Szkoła techniczna kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w oddziale tak zwanym specyalnym, który się najpomyślniej rozwija, liczy uczniów 112, z tych 74 uczy się ślusarstwa, 9 kowalstwa, 14 stolarstwa, 6 tokarstwa. Postanowiono w roku przyszłym warsztaty szkolne, mieszczące się obecnie przy głównych, przenieść na ulicę Chmielną i zaprowadzić w nich wszelkie ulepszenia, do nauki rzemiosł służące.

— Meyer wydaje książkę adresową wszystkich kupców w całem państwie rosyjskiem.

— Subskrypcya na obligacye $4^1/_2$% gwarantowane kolei Iwangrodzo-Dąbrowskiej w Berlinie poszła tak pomyślnie, że większe zapisy muszą uledz redukcyi.

— Kolej Terespolska otrzymała pozwolenie na przeprowadzenie nowej linii od Siedlec do Małkini.

— W Charkowie zakończył obrady swe zjazd właścicieli kopalń i przemysłowców górniczych.

**Rolnictwo i hodowla zwierząt.** Towarzystwo wyścigów konnych w Pławnie otrzymało właściwe zatwierdzenie. Wyścigi te będą się odbywały na tych samych warunkach, co warszawskie.

— Ze wszystkich niemal miejsc Cesarstwa dochodzą bardzo smutne wiadomości o stanie zasiewów ozimych. Oziminy wcześnie zasiane wymarzły prawie zupełnie z powodu zbyt wczesnych mrozów; tam zaś, gdzie nie zdołano wcześnie zasiać, nie zasiano zupełnie, albowiem wczesne śniegi stanęły temu na przeszkodzie. Nadto w wielu miejscowościach nie zdołano uprawić roli pod jarzyny. Słowem, widoki na urodzaj w roku przyszłym są bardzo słabe i rok ten dla Cesarstwa może być bardzo ciężki.

**Sztuki piękne.** W. Wereszczagin, znany malarz rosyjski, urządził wystawę swych obrazów w Wiedniu, gdzie budzi ona żywe zajęcie, zwłaszcza 20 płócien odtwarzających epizody ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej.

— Rzeźbiarz rosyjski Weloński otrzymał od petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych tytuł akademika.

**Teatr.** Na odbudowanie teatru narodowego w Pradze czeskiej zebrano już złr. 1,002,033. W sumie tej mieści się złr. 297,830 wypłaconych przez Towarzystwo ubezpieczeń. Pozostałe złr. 704.203 wpłynęły drogą składek publicznych w ciągu $2^1/_2$ miesięcy czasu. Dzielni czesi!

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*J. K. P. w Tlewie.* Dobre, pierwszy wyborny, wydrukujemy.

*Tow. Akad. w Halli.* N-ra 55 i 57 *Prawdy* nie odebraliście Panowie, bo nie wyszły i nie wyjdą. Pismo nasze jest tygodnikiem, a rok ma najwyżej 53 tygodnie.

*P. J. Saw. w Szantyrowszczyźnie.* Przyczynę zbadamy — tymczasem zaległe numery wysłaliśmy.

*P. Tom. w Wojtkuszkach.* Serdecznie Wam dziękuję za słowa współczucia. Nieszczęście było również przyczyną pomyłki. Komplet wysłany. Nr. 4 poszukamy i dostarczymy. O materyały prosimy, ufając Waszemu rozumowi w ich wyborze i zebraniu.

*P. A. J. w Cz.* Roszewski J. *Mały słownik obcych wyrazów w jęz. polsk. używanych,* Bydgoszcz 1847. Istnieją przytem specyalne: botaniczne, chemiczne, górnicze i t. d.

*P. X. w Gomb.* List zakomunikowaliśmy redakcyi *Nowin.*

*P. M. Kor. w Piotrkowie.* Wszakże w przeszłym numerze (Kronika bieżąca) najwyraźniej donieśliśmy, że właścicielem *Nowin* został p. Jakób Finkelhaus, który redagować będzie tę gazetę wraz z p. Filipem Sulimlerskim.

## OFIARY.

Dla biednych, H. Gierszyński franków 5.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Ноября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.